

WOŁA WIEŁU



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

MMXXV



JAMES ISLINGTON WOLA WIELU

Przełożył
Grzegorz Komerski

Ilustracje
Robert Łakuta
Szymon Wójciak

fabryka słów®

WARSZAWA

CYKL HIERARCHIA



Wola wielu — tom I

The Strength of the Few — tom II

w przygotowaniu — tom III

CZĘŚĆ I

IMPERIUM SINE FINE





Wiszę nad przepaścią. Przed upadkiem chroni mnie jedynie śliski od krwi chwyt dłoni mojego ojca. Leży nade mną na brzuchu, rozciągnięty na półce skalnej. Jego mięśnie przypominają naprężone sznury. Lepka czerwień pokrywa mu twarz, ramiona, ubranie... wszystko, co widzę. Wiem jednak, że jest w stanie mnie podciągnąć. Staram się nie szarpać. Ufam, że mnie ocali.

Ojciec spogląda ponad moim ramieniem. Patrzy w dół, w smolistą czerń. W czyhającą na mnie ciemność.

– Odwagi – szepcze. Słyszę w tym słowie nadzieję i rozpacz. Puszczam mnie.



– Vis, ja wiem, że bez przerwy ci tłumaczę, żebyś zawsze dobrze się zastanowił, zanim coś zrobisz – odzywa się mężczyzna o pomarszczonej twarzy; siedzi naprzeciwko mnie pochylony nad planszą. – Ale żebyśmy mogli skończyć tę partię, musisz, na bogów, wreszcie wykonać ruch kamieniem.

Odrywam rozkojarzony wzrok od zimnego srebrnego promienia, który wpada przez pojedyncze zakratowane okno

wartowni. Nie chcę pokazać po sobie, że ogarnęła mnie fala bolesnych wspomnień. Rzucam więc rywalowi najbardziej poirytowane spojrzenie, na jakie mnie stać, po czym z wysiłkiem skupiam się na białych i czerwonych trójkątach rozłożonych między nami na planszy. Figury lekko pobłyskują w blasku dopalającej się na półce latarni, świeci niewiele mocniej od sączącej się z zewnątrz poświaty wczesnego wieczora.

– Dobrze się czujesz?

– Dobrze. – Kątem oka zauważam, że krzaczaste, siwe brwi Hrolfa drgnęły lekko ku górze. – Wszystko w porządku, starusku. Po prostu myślę. I nie, to nie płyty. Jeszcze nie. – Nie mówię tego poirytowanym tonem. Po wyrazie wodnistych brązowych oczu poznaję, że troszczy się szczerze. Rozumiem też, że po prostu musiał zapytać.

Pracuję tu cały rok dłużej niż on. Nic więc dziwnego, że znów przyszło mu do głowy, iż zacząłem tracić ostrość umysłu.

Ignoruję niepokój Hrolfa i oceniam sytuację na planszy. Rozważam, co takiego zwiastuje nowo powstała formacja czerwonych. To podstęp, uświadamiam sobie natychmiast. Przeciwnik zastawił na mnie pułapkę, lecz ja się nią nie przejmuję. Dostrzegam szansę na szybką kombinację; przesuwam kolejno trzy białe kamienie i zapewniam sobie wygraną. Hrolf uwielbia się chwalić swoim niegdysiejszym zwycięstwem przeciwko magnusowi quartusowi, lecz dla mnie nigdy nie był równorzędnym partnerem. Jeszcze zanim władzę nad światem przejęła Hierarchia, czy raczej Republika Cateńska – wciąż muszę sobie przypominać, że na głos tak właśnie powinienem o tym imperium mówić – gra w fundamenty uznawana była za idealne narzędzie do rozwijania abstrakcyjnego, strategicznego rozumowania. Ojciec zadbał, bym zapoznał się z nią już jako dziecko. Grywałem często, i to przeciwko najbardziej utytułowanym zawodnikom.

Hrolf obrzuca planszę gniewnym spojrzeniem, na moment przenosi je na mnie i znów wbija wzrok w kamienne trójkąty.

– Ech, rozkojarzyłem się przez ciebie. Za długo żeś myślał. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że to nieprzepisowe – mru-

czy, z niechęcią przyznając się do porażki. – A wiesz, że kiedyś pokonałem samego magnusa quartusa?

Zanim mam szansę odpowiedzieć, ktoś zaczyna dobijać się do grubych kamiennych drzwi. Obaj z Hrolfem natychmiast zapominamy o grze, wstawiamy. Nasi zmiennicy mają się pojawić dopiero za kilka godzin.

– Kto idzie? Nazwisko! – woła ostro staruszek, gdy podchodzę do okna.

Przez kratę widzę przywoicie ubranego, wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach. Na oko pod trzydziestkę. Księżycowy blask tworzy światłocienie na jego ciemnej skórze, odbija się od gładko wygolonej czaszki.

– Sextus Hospius – pada cicha odpowiedź. – Mam pieczęć dostępu. – Przybysz zerka w stronę okna, zauważa mnie. Nosi czarną, krótko przystrzyżoną bródkę; poważne ciemnobrązowe oczy podkreślają jego męską urodę. Wyciąga rękę i przyciska do szyby coś, co wygląda na oficjalne dokumenty Hierarchii.

– Nikt nie wspominał, że powinniśmy się ciebie spodziewać – rzuca Hrolf.

– Jeszcze pół godziny temu sam nie wiedziałem, że tu będę. Pilna sprawa.

– Tak się tego nie załatwia.

– Dzisiaj tak się załatwia, septimusie. – Wyraz twarzy Hospiusa nie zmienia się, lecz zniecierpliwiony ton, jakim podkreślił niższą rangę Hrolfa, mówi sam za siebie.

Staruszek marszczy czoło, podchodzi do ściany przy wejściu i poirytowany stuka swoim kamiennym kluczem Woli tuż obok wnęki w murze. Otwór po naszej stronie natychmiast się zamyka, a identyczny pojawia się na zewnątrz. Czekający przed wartownią Hospius wkłada do niego papiery. Cały czas uważnie go obserwuję, na wypadek gdyby spróbował podrzucić nam coś jeszcze.

Hrolf czeka na moje skinienie, po czym ponownie otwiera wnękę po naszej stronie i wyciąga dokumenty. Przegląda je przez moment. Wreszcie lekko się krzywi i wręcza plik mnie.

– Pieczęć prokonsula – mruczy jedynie.

Bacznie wpatruję się w tekst. Mój towarzysz zna się na swojej robocie, lecz warto wszystko sprawdzać po dwakroć. Ostatecznie są tu Płyty. Niemniej rzeczywiście, mam przed sobą upoważnienie wystawione przez samego prokonsula Maniusa, podpisane i zatwierdzone odpowiednią pieczęcią. Wygląda na to, że Hospius jest ważną osobistością – ważniejszą nawet, niż sugeruje to jego ranga. To specjalny wysłannik senatu, któremu powierzono zadanie sprawdzenia nieprawidłowości w zeszłorocznym spisie. Obowiązujące zasady współpracy między senackimi piramidami Rządu – mocodawcami Hospiusa nadzorującymi spisy – oraz Armii, zawiadującej więzieniami na terenie całej Republiki, zezwalają naszemu gościowi na przesłuchanie jednego z osadzonych.

– Na oko wszystko się zgadza – potakuję, choć rozumiem niezadowolenie Hrolfa. Dokumenty umożliwiają Hospiusowi dostęp do najniższego poziomu. A wybudzanie ludzi skazanych na Płyty przed upływem wyroku zakrawa na okrucieństwo.

Staruszek odbiera ode mnie kartkę z pieczęcią Maniusa i wsuwa ją do wnęki w ścianie. Nasycony Wolą prokonsula symbol przerywa zabezpieczający obwód równie skutecznie, jak chwilę temu zrobił to klucz. Kamienne drzwi toczą się gładko na bok. Do wartowni wpada powiew gorzkiego nocnego powietrza Letens, a zaraz potem barczysta sylwetka Hospiusa przesłania wejście. Przybysz wchodzi, zsuwa z ramion kosztowny niebieski płaszcz i odrzuca go niedbale na krzesło. Posyła nam ujmujący uśmiech. Ujmujący przynajmniej w zamyśle. Widząc nonszalanckie zachowanie gościa, Hrolf nieprzyjemnie się krzywi, po czym z nadmierną siłą łamie pieczęć na dokumencie, uwalniając z niej Wolę. Drzwi zamykają się na powrót.

Raz jeszcze przyglądam się Hospiusowi. Mam przed sobą człowieka, który przesadnie markuje swobodę; robię wszystko, co mogę, by powstrzymać się od reakcji.

To pewnie nic takiego, staram się przekonać w myślach sam siebie. Niemniej po trzech latach zbierania doświadczeń całkiem sprawnie wyczuwam, kiedy ktoś próbuje coś ukryć.

Niespodziewany przybysz jest spięty.

– Dziękuję, septimusie. – Hospius omiata mnie spojrzeniem. Widzi, że jestem młody, więc zbywa moją obecność i skupia uwagę na Hrolfie. – Zdaje sobie sprawę, iż sytuacja jest niecodzienna, ale zależy mi na pewnych informacjach i chcę je wydobyć od niejakiego Nateo.

Staruszek sięga do regału w kącie, zdejmując z półki spis osadzonych, otwiera księgę i przerzuca strony. Przez chwilę sunie palcem po karcie.

– Nateo, Nateo... O, jest. Dolne cele, wschodnie skrzydło, numer czterdzieści jeden. Vis, zaczekaj tu.

Zdejmuję z haczyka klucz i wykonuje trzy kroki w kierunku drzwi prowadzących w głąb więzienia – te zabezpieczone są zwyczajnym zamkiem – przy czwartym kroku jednak nagle się potyka. Prostuje się, obraca, zerka to na mnie, to na Hospiusa. Jest skrępowany, niepewny, zagubiony. Ten wyraz twarzy znika niemal natychmiast, lecz wiem, co oznacza.

– Najmocniej przepraszam, septimusie. Zapomniałem o twoim kolanie – kłamię. Pospiesznie podchodzę i nie dając staruszkowi czasu na protesty, zabieram mu klucz. – Szybciej będzie, jeśli to ja zaprowadzę sextusa. Dolne cele, wschód, czterdzieści jeden. Dobrze pamiętam?

Hrolf rzuca mi surowe spojrzenie, lecz dostrzegam w nim wdzięczność. Wie, co się stało, lecz w tej chwili prawdopodobnie nie pamięta już nawet, kim jest Hospius.

– Faktycznie wolałbym dać tej nodze odpocząć, psiakość – podejmuje moją grę. – Więc o ile sextus nie ma nic przeciwko...

– Ani trochę. – Hospius przywołuje mnie niecierpliwym skinieniem. Raczej nie zauważył, że stało się coś niepokojącego.

Wchodzimy do głównej części więzienia. Zamykam za nami drzwi, za którymi znika Hrolf i jego zaniepokojona twarz. Świeca ściennej lampy, zapalona na początku naszej warty, zmienia się już prawie w ogarek. Zdejmuję ją i unoszę wysoko, oświetlając wąskie stopnie w dół. Gładko ciosany kamień połyskuje wilgocią.

– Uwaga na schodach – uprzedzam Hospiusa. – Może być ślisko.

Ruszam pierwszy. Schodząc, czuję na plecach swędzenie. Spojrzenie sextusa. Nie potrafię przestać myśleć o pierwszym wrażeniu, jakie na mnie wywarł; o jego sztucznym, pretensjonalnym zachowaniu. No, ale dokument, z którym przyszedł, jest autentyczny. A przynajmniej jego pieczęć nasycona została osobiście przez prokonsula Maniusa. Tego nie da się sfalszować. A nie jestem tak głupi, by drażnić. Zostaje mi więc nadzieja, że skrywane zdenerwowanie przybysza nie wynika z żadnej niecnej przyczyny. I co ważniejsze, że ta jego zagadkowa wizyta w więzieniu nie zwróci niczyjej uwagi na mnie.

– Twój septimus... Od dawna jest taki?

Vek. Wciąż odruchowo przeklinam w swoim ojczystym języku, aczkolwiek wyłącznie w myślach. Na głos byłoby to zbyt ryzykowne. Przywołuję na twarz wyraz niezrozumienia i ogłdam się przez ramię.

– To znaczy jaki?

– Za długo tu pracuje. – Brązowe oczy Hospiusa świdrują mnie badawczo. Odwracam się i idę dalej, patrząc pod nogi. – Ale nie bój się. Nikomu nie powiem.

Parskam sztucznym śmiechem.

– Nie do końca wiem, co widziałeś, sextusie, ale to tylko ci się wydawało.

Jeżeli prokonsul Manius się dowie, Hrolf straci przydział. A jest na tyle stary, że zostałyby przesunięty do piramidy emerytalnej, co w połączeniu z niepewnym stanem umysłu niemal na pewno oznaczałoby degradację do rangi octavusa. Musiałby żyć w nieustannym wyczerpaniu, z wolna tracąc siły. Hierarchia ukradłaby mu lata i zniszczyła dobrostan, tak samo jak ludziom uwięzionym w tutejszych celach.

A ja, oczywiście, musiałbym nauczyć się współpracy z nowym septimusem. Ze wszystkich trzech, którzy dowodzili więzieniem w Letens, odkąd zacząłem, z Hrolfem poszło mi zdecydowanie najłatwiej.

Hospius odpowiada głuchym burknięciem. Raczej nie zdołałem go przekonać, lecz nie dopytuje.

Docieramy na dół. Blask latarni wyławia z mroku gładkie, połyskujące wilgocią ściany. Ciągną się w lewo i prawo. Dolatuje mnie cichy, ledwie słyszalny pomruk. Spędziłem tu ponad rok, a ten dźwięk wciąż przyprawia mnie o ciarki.

– Co tak śmierdzi? – Za moimi plecami rozlega się ni to kaszlnięcie, ni to odgłos krztuszenia.

– Więźniowie. – Osobiście prawie już nie zauważam fetoru potu zmieszanego z ostrą wonią ludzkiego moczu. Zresztą na tym poziomie wcale nie jest aż tak dotkliwy.

– Dlaczego nie utrzymujecie ich w czystości? – W głosie Hospiusa pojawia się rozdrażnienie.

– Ależ utrzymujemy. Myjemy ich dwa razy dziennie. Robimy, co możemy. Ale skazani na Płyty nie panują nad zwieraczami. – Gniew udaje mi się ukryć, lecz nie powstrzymuję się i dodaję: – Trzeba też pamiętać, że cateńskie przepisy zalecają myć więźniów dwa razy na tydzień.

Na to sextus nie znajduje odpowiedzi.

Po kilku zakrętach docieramy do kolejnych schodów, na najniższy poziom, gdzie przetrzymywani są skazańcy z najdłuższymi wyrokami – te trwają ponad dwa lata. To w większości mordery i domniemani zdrajcy, kolaborujący z Anguisami. Ostatnio trafia ich tu coraz więcej.

– Dobrze znasz te korytarze. – Hospius próbuje dopasować ton do atmosfery otoczenia, lecz jego cichy głos i tak odbija się od surowych ścian donośnym echem.

Nie mam ochoty wdawać się w zdawkową pogawędkę, lecz niegrzeczne zachowanie mogłoby mnie kosztować znacznie więcej.

– Muszę tu schodzić co drugą noc.

– Czyli zajmujecie się więźniami na zmianę?

– Zgadza się.

– Mimo że twój dowódca ma chore kolano.

Vek. Wzruszam ramionami, by zamaskować niepokój. Ten człowiek jest stanowczo zbyt dociekliwy.

– To zwykły ból. Nie kalectwo. A septimus traktuje obowiązki z wielką powagą.

– Nie wątpię. – Hospius zrównał się ze mną. W tym miejscu stopnie są szersze niż wcześniej.

Przerasta mnie o głowę. Czuję na sobie jego baczny wzrok. Jest zaintrygowany. A chciałem przecież osiągnąć dokładnie przeciwny efekt.

– Jak ci na imię?

– Vis.

– I od kiedy pomagasz septimusowi, Vis?

– Od kilku miesięcy. – To nie kłamstwo, choć pytanie dotyczyło czegoś innego. Nie zamierzam ujawnić, jak długo jestem wystawiony na działanie Płyt.

– Młody jesteś jak na taką pracę.

– Vis Solum. – Wiem, że moje nazwisko wszystko mu wyjaśni.

– Ach... – Skrawki informacji składają się w głowie Hospiusa w całość. Jestem sierotą. Jedną z tych, które ze względu na wiek nie mają szans na nowy dom. Dlatego też Religia, trzecia z senackich piramid, prowadząca w Hierarchii sierocińce, wraz z Armią znalazły dla mnie zastosowanie tutaj.

Stajemy u stóp schodów. Po bokach otwierają się dwa czarne jak smoła korytarze. Trzeci prowadzi naprzód. Skręcam w lewo, na wschód.

– Już niedaleko – rzucam. Bardziej po to, by zapobiec dalszym pytaniom, niż aby wypełnić ciszę.

Tutaj smród jest znacznie dotkliwszy. Gęstnieje w powietrzu. Sextus zasłania nos i usta chusteczką. Wcale się nie dziwię. Przy pierwszych kilku wizytach na dole sam wymiotowałem. A i teraz, choć przywykłem, oczy mocno mi łzawią. Światło latarni pada na pierwszą z numerowanych cel.

Wtem Hospius staje jak wryty. Ramiona opadają mu bezwładnie do boków, nie myśli już o wszechobecnym fetorze.

– Nie widziałeś nigdy Płyty? – Ukrycie zadowolenia, jakie budzi we mnie jego ewidentna zgroza, wymaga niemałego wysiłku.

Cele więzienia Letens odgródzone są jedna od drugiej kamiennymi ścianami, lecz nie mają drzwi, nic nie oddziela ich od korytarza, dzięki czemu wnętrza widoczne są już na pierwszy rzut oka. Sześć stóp szerokości, niewiele dłuższe. We wszystkich znajdują się jedynie dwie rzeczy.

Płyta. Oraz przykuty do niej więzień.

Mężczyzna osadzony w celi wschód jeden jest mniej więcej rówieśnikiem Hospiusa, lecz na tym wszelkie podobieństwa się kończą.

Naga skóra jest śmiertelnie blada, z szarawym odcieniem. Sylwetka krucha i chuda, zapadłe policzki, długie i skołtunione jasne włosy. Świszczący, chrapliwy oddech. Stalowe kajdany na przegubach i w kostkach połączone są łańcuchami z wiszącym powyżej wyciągiem.

Niebieskie oczy ma otwarte, lecz zamglone, nieskupione na niczym. Mężczyzna leży na białej, gładkiej jak lustro Płycie, umiejscowionej prawie poziomo, zaledwie z lekkim nachyleniem w stronę korytarza. W stronę wąskiego rynsztoka, biegnącego wzdłuż szeregu cel, z którego stosunkowo łatwo odprowadzić większą część spływających z Płyt odchodów.

Tutaj właśnie, moim zdaniem, jak na dłoni widać całą prawdę o Hierarchii.

– Nie widziałem – odpowiada mi cicho Hospius. – Ja... Nie. Ile czasu tu spędził?

Osiem miesięcy.

– Musiałbym sprawdzić w papierach. – Dobrze pamiętam, jak go tu umieszczałem.

– Co zrobił?

A czy to ważne?

– Musiałbym sprawdzić w papierach – powtarzam znudzone tonem. Obojętnie. Staram się, by zrozumiał, że to, co widzi, jest dla mnie codziennością. – Powinniśmy iść dalej, sextusie.

Hospius potakuje skinieniem, choć nie odrywa wzroku od więźnia, dopóki wynędziała sylwetka nie znika na powrót w ciemności.

Ruszamy. Niewielki krąg światła latarni omiata cele rozmieszczone po obu stronach korytarza. Są identyczne jak pierwsza. Mężczyźni i kobiety. Skuci, nadzy, ledwie żywi. Wszyscy leżą na zimnych białych kamieniach. Stan skazańców nie jest skutkiem niedożywienia. Wywołują go Płyty, do których są podłączeni. Kiedy przychodzi pora karmienia, więźniowie dostają większe porcje, niż zjadam sam. A przy tym nie mają tu ruchu.

Hospius milczy. Nie mam pewności, czy makabryczne otoczenie zdołało go poruszyć. Chciałbym przyjrzeć się temu człowiekowi uważniej – coś w nim wciąż mi nie pasuje. Jego wizyta w więzieniu, cała ta noc. Ostatecznie jednak zwycięża we mnie pragnienie pozostania anonimowym. Bez względu na to, czy sextus coś ukrywa, czy nie, moja podejrzliwość zwróciłaby jego uwagę.

– Wschodnie skrzydło, czterdzieści jeden – obwieszczam, gdy chybliwy blask pada na wielkie cyfry wyryte na tylnej ścianie kamiennej celi.

Osadzony tu mężczyzna, Nateo, jest z nami niecały miesiąc: pamiętam jego pierwszy dzień, ponieważ w odróżnieniu od większości towarzyszy niedoli trafił do nas z innego podobnego więzienia. Jest tak samo chudy jak pozostali; połączenie zapadniętych policzków i haczykowatego nosa sprawia, że jego twarz przypomina głowę drapieżnego ptaka. Tłuste czarne włosy mocno kontrastują z bielą Płyty, spływają poniżej ramion. Niełatwo oceniać wiek ludzi w takim stanie, lecz ten człowiek raczej nie przekroczył trzydziestki.

Cisza. Zerkam z ukosa na Hospiusa. Stoi wpatrzony w Nateo. Jego wargi wykrzywia lekki, enigmatyczny grymas. Złożony na Płyce więzień ma obojętny, szklisty wzrok. Nie poznaje nas, nie reaguje na światło ani naszą obecność.

– Chcę z nim porozmawiać. – Sextus podchodzi krok bliżej celi.

– Stój! – rzucam zdjęty paniką, po czym, gdy przybysz za styga, skruszony unoszę rękę. – Wybacz, proszę, to nie z braku szacunku. Po prostu niebezpiecznie jest się zbliżać. Przygotowa-

nie więźnia do kontaktu z Płytą wymaga kilku dni. Dotknięcie mogłoby cię zabić. Ciebie i wszystkich, którzy na ciebie cedują.

– Ach... – Hospius bierze przestrożę do serca. Nie rusza się. – Ale możesz to wyłączyć? Chwilowo?

– Mogę go podciągnąć. Zerwać kontakt. – Na myśl o tym, co ma się zaraz wydarzyć, dopadają mnie mdłości. – Ale to nie będzie przyjemne. Zwłaszcza dla niego.

Sextus przeciąga dłońią po swojej ciemnej łysinie. Chwila zwątpienia – jestem przekonany, iż dostrzegam w nim niepewność – lecz kiedy zwraca się ku mnie, patrzy już hardo.

– Przybyłem tu w poszukiwaniu odpowiedzi. Rób, co musisz.

Wchodzę głębiej do celi numer czterdzieści jeden. Staram się zachować jak największą odległość od Płyty. Jak dotąd nie odczuwam żadnych skutków ubocznych. Zwykle wystarczy kilka miesięcy, żeby sama bliskość tych urządzeń negatywnie wpłynęła na ludzi. A ja przepracowałem tu już bez mała piętnaście. Ale i tak bardzo uważam. Skrupulatnie staram się niczego nawet nie musnąć. Może i jestem odporny, lecz Płyty zostały zaprojektowane tak, by wysysać Wolę już od pierwszego dotyku. Nie tylko taką jej porcję, jaką Hierarchia regularnie czerpie z milionów octavusów tworzących jej fundament. Płyta wysysa z człowieka całą energię, zdolność skupienia, siłę duchową i fizyczną. Pobiera ją w całości i przekazuje jakiemuś szczególnie zasłużonemu septimusowi, który przebywa gdzieś daleko.

Jeśli o mnie chodzi, wolałbym umrzeć.

A najgorsze, że wielu z osadzonych tu ludzi bez wahania bierze się ze mną zgodziło. Mam tego pełną świadomość.

Podchodzę do przeciwległej ściany celi i kucam. W świetle latarni odnajduję koło z uchwytami. Zaczynam nim kręcić, wytężam mięśnie. Nade mną coś brzęka i zgrzyta, łańcuchy prężą się i napinają. Poderwany z białej Płyty mężczyzna zawisa w niewygodnej pozycji: biodra w dole, ręce i nogi wyciągnięte ku górze. Kołysz się. Jeszcze kilka obrotów koła. Kiedy między skazańcem a kamieniem pojawia się szczelina szeroka na kilkanaście centymetrów, blokuję wyciąg.

Prostuję się. Spoglądam na wiszącego przede mną zwiotczalego, kościstego skazańca. Moment wybudzenia oglądałem dotąd zaledwie kilka razy. Procedurą zakończenia wyroku zawsze dyryguje septimus, a inne powody nadarzają się bardzo rzadko.

Wracam do stojącego u wylotu celi Hospiusa, który nerwowo międlł w dłoniach rąbek tuniki. Szata zdradza jego związek z Rządem, świadczy o tym granatowa piramida wyszyta na wysokości serca. Cały jego strój jest sztywny, nieskazitelnie czysty, fałdy pojawiają się wyłącznie tam, gdzie trzeba. Aż pachnie świeżością.

Jakby nigdy dotąd nieużywany.

– Dlaczego się jeszcze nie budzi? – Sextus nie zauważył mojego wzroku, jest bez reszty skoncentrowany na osadzonym.

– Chwilę to trwa. – Dokładnie w momencie, kiedy wypowiadam te słowa, coś się zmienia.

Miarowy rytm chrapliwego oddechu więźnia ulega zakłóceniu. Z jego warg płynie nieco mniej rozpaczliwe westchnienie. Łańcuchy się kołyszają, powieki trzepocą, świadomość powraca do oczu. Po raz pierwszy jest tu z nami, przynajmniej częściowo.

Hospius zerka w moją stronę. Wiem, że zastanawia się, czy mnie odprawić. Ale nie odejdę. Nawet gdybym miał go rozgniewać. Zostawiając go na dole samego, złamałbym zbyt wiele zasad.

Sextus wyraźnie doszedł do podobnego wniosku. Bez słowa zbliża się do Płyty i staje w polu widzenia skazańca. Kuca, by ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

– Nateo... Słyszysz? Nazywam się sextus Hospius. *Nonagere*.

Ostatnie słowo wymawia wyraźnie, powoli, lecz udaje mi się je rozpoznać dopiero po chwili.

Vetuzjański wyraz.

Nie reaguj.

Hospius raz jeszcze rzuca okiem na mnie. Robię wszystko, co mogę, by samemu zastosować się do rady, jakiej udzielił więźniowi. Nie powinienem jej zrozumieć. Jak mógłbym? Język vetuzjański jest martwy. Ot, akademicka ciekawostka. Poza nielicznymi wyrazami, które weszły do wspólnej mowy, po prostu już nie istnieje. Hierarchia wypełniła go ponad trzysta lat wcześniej.

niej. Obecnie jego znajomość przydaje się jedynie do odczytywania oryginalnych tekstów z dawno minionej epoki. Lecz mój ojciec żarliwie wyznawał wiarę w wartość historii niepodrasowanej przez tłumaczy Hierarchii. Matka z kolei była uczoną i płynnie posługiwała się aż trzema językami. Poza rodzicami kształcili mnie prywatni nauczyciele. Miałem zostać dyplomatą i wspierać rządzą siostry poprzez podróże do innych krain.

Nateo ociężale obraca głowę i kieruje zamglony wzrok na Hospiusa. Oblizuje wargi.

I wreszcie, z wyraźnym bólem, potakuje.

Zrozumiał. Oni się znają.

Uszy wypełnia mi głośny szum krwi. Czy Hospius chce go uwolnić? Nie mogę na to pozwolić. Dochodzenie po takiej aferze oznaczałoby mój koniec. Ale nie mogę też nic zrobić przedwcześnie. Jak dotąd nie uczynił przecież nic złego. Przyniesione dokumenty wyglądały na oryginalne. Były oryginalne.

Nic nie mówię, niczego nie robię. Muszę czekać.

– Ty... mówić? – Znów po vetuzjańsku. Sextus mówi sztywno, jakby przypominał sobie kiedyś wyuczone wyrazy.

W tej chwili żaden z mężczyzn na mnie nie patrzy, lecz udaje się zakłopotaną obojętność. Na wszelki wypadek.

– Tak, mogę. Trochę. – Głos Nateo przypomina ciche drapanie gwoździem o kamień. Skazaniec również posługuje się martwym językiem, choć z dalece większą swobodą niż jego gość. – Jak długo? – Toczy wzrokiem dokoła, jakby szukał odpowiedzi z innego źródła niż Hospius.

– Pięć lat.

W oczach więźnia pojawia się iskra. Mężczyzna ponownie skupia wzrok na sextusie. Teraz patrzy już bardziej przytomnie.

– Uwolnisz mnie?

– Mam nadzieję. Najpierw informacje. – Hospius dostrzega narastającą w osadzonym panikę. Chwyta drżące ramię, przytrzymuje wśród szczyku łańcuchów. – Wiem... Ty niewinny. Ja muszę zrozumieć... dlaczego tu trafiłeś. Veridius? – Imię jest pytaniem, cichym i pełnym napięcia.

– Niewykluczone. – Nateo się uspokaja, lecz w odpowiedzi pobrzmiwa niepewność.

Udaję, że ziewam. Odstawiam latarnię na ziemię i odchodzę poza zasięg ich spojrzeń, jakbym zabijał czas, sprawdzając inne cele. Na osobności będzie mi łatwiej skupić się na tłumaczeniu.

– Ty... pomyśleć. O Caerorze. O tym, co powiedział, zanim... – Sextus urywa i choć nie widzę jego twarzy, jestem pewien, że tym razem nie umilkł z powodu niedostatecznej znajomości języka.

– Dawne czasy... – Nateo dławi się gorzkim śmiechem.

– Zanim to się stało, przysłał wiadomość. Nazwy. Ja ich nie znam. Obiteum. Luceum. On wspomniał o... bramie. O dziwnej mocy z czasów sprzed Katakizmu. Ty wiesz, co... znaczy?

Cisza. Pobrzękiwanie łańcuchów. Wreszcie:

– Najpierw chcę stąd wyjść. Dość już.

Zamykam oczy. Szepczę w ciemność przekleństwo, po czym przyjmuję znudzoną pozę i szurając, wracam do nich powoli, jakby nigdy nic. Przypominam Hospiusowi o swojej obecności. Nie podejrzewam już, że przybył tu uwolnić więźnia. Nie chcę jednak, by przyszło mu to do głowy.

Sextus zauważa ruch i spogląda mi w oczy. Skinieniem głowy daje znać, że nie przewiduje, by wizyta się przeciągnęła. Ukrywam ulgę. Nateo dostrzega nasze miny, jego oddech przyspiesza. Łańcuchy ponownie zaczynają się kołysać, dzwonią. Opowiadają ciemności o przerażeniu skazańca.

– Zrobię, co mogę. Przysięga – odzywa się Hospius, po czym na powrót przykuwa uwagę więźnia. – Ale ty... jego przyjaciel. Proszę. Jeżeli wiesz...

Nateo odpowiada kamiennym wzrokiem. Milczy. Innych atutów nie ma.

Rozczarowany Hospius prostuje się i cofa.

– Proszę – rzuca we wspólną mowę Nateo. Błaga. – Proszę. Już dosyć. Nie chcę znowu. Nie rozumiesz, jak to jest. – W słowach słyhać czyste nieszczęście. Obraca głowę na tyle, by mnie zobaczyć. – Ty. Jesteś miłszy od innych. Bardziej łagodny. Wiem to. Wiem, bo leżeć na Płyce to nie to samo, co spać. Jest gorzej.

To prawie sen. Ale wystarcza przytomności, aby wiedzieć, co się dzieje. Człowiek zdaje sobie sprawę, że powinien myśleć szybciej. Że świat ucieka. – W oczach stają mu łzy. Rozpacz i desperacja. Bełkocze: – Pięć lat. Pięć lat. Spójrzcie na mnie! Ja nawet nie...

– Nateo... – Hospius próbuje go uspokoić. Bez wątpienia martwi się o swoje tajemnice. Zbliża się o pół kroku.

Skazaniec zaczyna się nagle szamotać, zaskakująco gwałtownie jak na kogoś w jego stanie. Wierzga, ryczy, rzuca się, zwierzęcy strach dodaje sił patykowatym kończynom.

Metal brzęczy ogłuszająco. Więzień kołysze się w łańcuchach, udaje mu się wykręcić i chwycić zbyt świeżą tunikę Hospiusa.

– Na bogów przegniłych! – przeklinam i wkraczam do akcji. Nie mam czasu się zastanowić.

Obiegam biały kamień, wpadam na wyciągnięte ramię Nateo, wciskam się między obu mężczyzn, nie pozwalając, by osadzony wciągnął sextusa na Płyte. Nateo puszcza. Drapie mnie w ramię. Tracę równowagę.

Upadam do tyłu zaplątany w łańcuch. Gładka powierzchnia Płyty jest zimna jak lód, czuję ją pod dłońmi.

Po moich palcach rozchodzi się mrowienie. Kwaśne, ostre, mokre. Pali i mrozi naraz. Ogarnia mnie groza. Odpycham się gwałtownie, zrzucam z siebie łańcuch i rozpaczliwie kopię blokującą wyciąg dźwignię. Koło zaczyna obłąkańczo wirować, a ja cofam się czym prędzej, byle tylko Nateo nie mógł mnie chwycić.

Głośny brzęk metalowych ogniw, a potem już tylko ciężki oddech.

– Na grobowce bogów! – szepcze wstrząśnięty Hospius. Kuca pod ścianą celi. Patrzy na Nateo tak, jakby się bał, że więzień lada moment znowu się poderwie i zaatakuje. Lecz splątane kończyny i łańcuchy leżą na Płyce bez ruchu. Wpatrzony we mnie oczy skazańca są już puste. Wciąż jednak wyraźnie czuję zawarte w nich oskarżenie.

– Wszystko w porządku? – Niepewnie podnoszę się z posadzki. Serce kołacze mi w piersi. Stare blizny na plecach boleśnie się napinają. Dotknąłem Płyty. Otarłem się o ten przeklęty kamień.

Spoglądam z obawą na dłonie. Nie wyglądają źle. Nadal lekko mrowią, ale poza tym nie dzieje się nic.

– Tak. – Hospius wygładza zmiętą tunikę. Jego wzrok zatrzymuje się na więźniu. Patrzy na niego ze specyficzną melancholią. Przez moment nie kryje targających nim uczuć. Szybko się jednak opamiętuje. – Dzięki tobie. – Prostuje się i spogląda na mnie ciekawie.

– Ze mną też w porządku – odpowiadam z nadzieją, że tego właśnie chce się dowiedzieć. Jeżeli zauważył, co przed chwilą zaszło, będzie kłopot. – Ale miałem sporo szczęścia. Mało brakowało, a wpadłbym na tę przeklętą Płytę. – Drżenie w moim głosie wcale nie jest udawane. Wciąż się spodziewam, że lada moment stanie się ze mną coś strasznego.

– Ale jej nie dotknąłeś?

– Myślisz, że w przeciwnym razie tak spokojnie byśmy rozmawiali? – Zmuszam się do lekkiego śmiechu.

– Co prawda, to prawda. – Hospius podchodzi i klepie mnie po ramieniu. – Dobra robota, Visie Solum. Naprawdę dobra. Cieszę się, że miałem cię przy sobie. – W ustach sextusa takie słowa stanowią dowód najwyższego uznania.

Komuś innemu zapewne bardzo by schlebily.

Ponownie nastawiam mechanizm wyciągu, po czym przy pomocy lekko poluzowanych łańcuchów ostrożnie przesuwam leżącego na Płycie Nateo. Chcę zostawić nieszczęśnika w możliwie najwygodniejszej pozycji. Nie mogę mieć mu za złe tego, co zrobił.

Winni są jedynie ci, którzy go tutaj zesłali. Jak zawsze.

Wracamy. Drogę oświetla nam dogasający płomień latarni. U stóp drugich schodów sięgam po inną, stojącą w korytarzu na półce, zapalam ją i przekazuję Hospiusowi.

– Skoro już jestem na dole, powinienem zabrać parę gratów z magazynu. – To najszczerza prawda, lecz przede wszystkim chcę dokładnie obejrzeć dłonie. Potrzebuję kilku chwil na osobności. Muszę się pozbyć okropnego napięcia, które grozi wybuchem przy każdym oddechu. – Do wartowni idzie się stąd już

prosto. Żadnych zakrętów. Na miejscu po prostu zapukaj. Septimus Hrolf ci otworzy. – Trudno to nazwać regulaminowym działaniem, wiem jednak, że staruszek nie będzie robić ceregieli.

Sextus wchodzi na stopień, lecz zaraz przystaje i się odwraca.

– Vis, najlepiej będzie chyba, jeśli nikomu nie wspomnimy o tym, co się tam stało. – Jego głos ostro rozbrzmiewa w ciszy. – Nie chciałbym, żebyś miał jakieś problemy z septimusem. Albo prokonsulem.

– Oczywiście, sextusie. Dziękuję. – Czyli co, groźba? Nie jestem pewien. Aczkolwiek ma rację. To mnie obarczono by winą za ten wypadek, bez względu na wszelkie tłumaczenia. Odnoszę natomiast wrażenie, że na dyskrecji zależy nam obu. Bardzo mi to odpowiada.

Czuję na sobie przenikliwe spojrzenie. Po chwili Hospius sięga do kieszeni i rzuca mi coś błyszczącego. Zwinnie chwytam drobiazg w locie; z zaskoczeniem widzę srebrny trójkąt. Moneta jest warta więcej, niż zarobię za dzisiejszą służbę.

– To za fatygę. I za milczenie.

Rusza dalej przed siebie. Blask świecy gaśnie na schodach.

Monetę chowam dopiero, gdy echo kroków sextusa milknie na dobre. Wtedy też pozwalam rękom zadrzeć.

Odstawiam latarnię na półkę, unoszę do oczu dłonie i oglądam w słabym świetle każdy palec, każdą linię papilarną, wszystkie zmarszczki i pory. Skóra jest miejscami zaczerwieniona, to od nerwowego pocierania, ale nie dostrzegam żadnych uszkodzeń. Podwijam rękawy – muszę sprawdzić, czy coś niepokojącego nie pojawiło się na ramionach. Ale nie. Nawet to dręczące mrowienie ustąpiło bez śladu.

Jestem cały, zdrowy.

Oddycham z ulgą i osuwam się wzdłuż ściany na podłogę. Siadam oparty plecami i pozwalam sobie na chwilę wytchnienia, by pozbyć się strachu. Do dzisiaj często zastanawiałem się, czy byłbym w stanie przetrwać bezpośredni kontakt z Płytą. Nigdy jeszcze nie cedowałem – ani razu nie oddałem Woli w którejś z Aurora Columnae rozsianych po całej Republice. Niemal wszystkie

dzieci po ukończeniu dwunastego roku życia prowadzi się do jednej z tych starożytnych kolumn i od tego momentu stają się zdolne cedować na dowolną osobę, w dowolnym momencie, bez potrzeby pośrednictwa tych olbrzymich zabytków z epoki poprzedzającej Kataklyzm. Według mojej teorii to właśnie odmowa podania się temu rytuałowi sprawiła, że mogłem przepracować tu tak długi czas bez żadnych skutków ubocznych.

Zawsze jednak było to wyłącznie przypuszczenie, domysł słabo podparty argumentami. I za nic nie miałem zamiaru tej hipotezy sprawdzać.

Świeca za moment zgaśnie, a jedyną zapasową zabrał Hospius. Energicznie ruszam więc do magazynu, zabieram potrzebne naszym zmiennikom jedzenie i środki czystości, po czym niosę je na górę. Kiedy podchodzę do drzwi wartowni, słyszę wypływające przez szparę głosy. Hm, ciekawe.

– ...i tak ode mnie. Chcę wiedzieć. – Hospius jeszcze nie wyszedł. Przypominam sobie, dlaczego to ja zaprowadziłem go na dół. Przeklinam sam siebie w duchu i zaczynam bezgłośnie szeptać w mrok prośbę, aby Hrolf zdołał utrzymać swoją durną głębę na kłódkę. Nie żywię do tego staruszka szczególnej sympatii, nie obdarzyłem nią jeszcze nikogo z Hierarchii, lecz nie uważam, by zasługiwał na los, jaki niechybnie go spotka, jeśli sextus uzna, że sterany wiekiem mężczyzna nie jest zdolny do dalszej służby.

Szeleści papier.

– Zostały trzy lata i siedem miesięcy – tłumaczy Hrolf. – Czy to już wszystko, sextusie? – Pytanie nie brzmi niegrzecznie, niemniej wyraźnie daje do zrozumienia, że gość powinien już iść.

Cisza. Tak bardzo żałuję, że nie widzę w tej chwili miny Hospiusa.

– Odniosłem wrażenie, że twój młody pomocnik zna się na robocie. – Lekki ton. Swobodna rozmowa. Moje serce wciąż pozostaje ściśnięte.

– Nic dziwnego. Siedzi tu dłużej niż ja.

– Dużo dłużej?

– Kilka miesięcy – odpowiada mgliście starzec. Niemal widzę, jak wzrusza ramionami.

– Dobrze go znasz?

– Milczący jest. Prawdę powiedziawszy, nawet trochę wyniosły. Niechętnie mówi o sobie. Dlaczego pytasz? – W głosie septimusa nie słychać podejrzliwości, jest po prostu ciekaw.

– Zrobił na mnie duże wrażenie. Może się tu marnuje?

– Och, bez wątpienia – chichocze staruszek. – W fundamenty gra jak demon. I jest znacznie mądrzejszy, niż się wydaje. Któregoś dnia cytował mi Fulgurisa, psiakość, ale potem zarzekł się, że nigdy tego nie czytał.

Karcę się w duchu za tamtą chwilę lekkomyślności i zaczynam się zastanawiać, czy nie zainterweniować, by Hrolf nie narobił jeszcze większego bałaganu. Jest przeświadczony, że podkreślając moje zalety, wyświadcza mi przysługę. Nie ma pojęcia, że zainteresowanie osób z zewnątrz mogę przypłacić życiem. Z drugiej strony, skoro Hospiusowi zależy na informacjach, moja obecność niczego nie zmieni. Lepiej więc zaczekać i sprawdzić, czego konkretnie chce się dowiedzieć.

– Hmm... – Sextus, na szczęście, nie wydaje się mną tak zachwycony, jak chciałby Hrolf. – No cóż, jeśli w Letens zwolni się stanowisko odpowiednie dla kogoś w jego wieku, wspomnę o nim. – W jego głosie pobrzmiwa beznamiętna nuta, wyrażnie dająca do zrozumienia, że rozmowa właśnie dobiegła końca. Nadymam policzki i z ulgą wypuszczam powietrze.

Słysząc stukot butów, po chwili drzwi przede mną wibrują, pchnięte falą wpadającego z zewnątrz powietrza.

– Dziękuję, septimusie. Razem silniejsi – dolatuje mnie stłumione pożegnanie Hospiusa.

– Razem silniejsi, sextusie – odpowiada oficjalnie Hrolf.

Powiew ustaje, drzwi nieruchomieją. Czekam jeszcze dwie minuty. Wykorzystuję ten czas, aby przemyśleć, co powiedzieć Hrolfowi. Na pewno będzie ciekaw przebiegu wizyty na dole.

– No i? O co w ogóle chodziło? – rzuca, kiedy wracam do wartowni.

– Nie jestem pewien. Rozmawiali ze sobą w jakimś obcym języku. – Ustawiam na półce rzeczy przyniesione z magazynu, po czym padam ciężko na krzesło.

Hrolf wydaje z siebie pomruk zainteresowania, lecz szybko uświadamia sobie, że niewiele da się z tej informacji wywnioskować.

– Czyli żadnych problemów?

– Żadnych niespodziewanych. Więzień nie był zachwycony, kiedy usłyszał, że to jeszcze nie koniec wyroku. Wrzaski, kopańka. – Kiedy przypominam sobie przerażenie malujące się na twarzy Nateo, do gardła podchodzi mi piekąca żołąć. Wciąż widzę, jak błagał, jak walczył. Niczego jednak po sobie nie pokazuję.

Niemniej Hrolf klepie mnie po ramieniu. Wie, że rozumiem ten męski gest współczucia, choć nie ma pojęcia, jak bardzo.

– Dzięki – rzuca.

Następny kwadrans upływa nam na zdawkowej rozmowie. W ten sposób skracamy sobie czas do mojej zwyczajowej pory wyjścia. Hrolf zostanie tu na całą noc – sam aż do świtu – aczkolwiek więźniowie są już na dziś nakarmieni i umyjni, więc nie będzie mieć wiele na głowie. Większą część samotnej warty po prostu prześpi.

Tymczasem gdzieś w Letens miejski zegar cicho wybija pojedynczą nutę. Koniec wieczora, początek prawdziwej nocy. Kulant odezwie się ponownie dopiero o brzasku.

Wstaję.

– Propozycja jest ciągle aktualna, Vis. – Hrolf podnosi na mnie wzrok. Jego oczy zasnuwa cień smutku, choć stara się go ukryć. – Jeśli zechcesz zostać i jeszcze trochę mi pomóc, mogę nawet zmienić warunki.

– Przecież wcale nie jestem ci tu potrzebny. – Sięgam po swój znoszony płaszcz, zarzucam go na ramiona.

– Ale prokonsul o tym nie wie. Twoja matrona też nie. A pieniądze zostały już wypłacone.

– Dzięki, ale nie. Są twoje. – Lepiej, żeby trafiły do niego niż do matrony. Obrzucam septimusa baczny spojrzeniem, za-

stanawiam się, czy nie zamierza przypadkiem zerwać umowy. Ale nie, nie o to chodzi. Jego niepokój zdradzają pojawiające się wokół oczu zmarszczki.

– Tutaj nie nabawisz się siniaków. – Tą uwagą jedynie potwierdza moje przypuszczenia.

– Wiem, mam tu też lepszego partnera do rozmów – odpowiadam i wyciągam ku niemu otwartą dłoń.

Wzdycha, lecz na pomarszczonej twarzy nie widać zdziwienia. Otwiera stojącą pod ścianą szkatułkę, zabezpieczoną zamkiem Woli, i wyciąga mój żołd. Miedziane trójki, każdy z ośmioma żłobionymi równoległymi liniami. Za dzisiejszą pracę dostaję sześć. Pozostałe dziewięć, które chowa septimus, również miały przypaść mnie, lecz ponieważ wychodzę wcześniej, trafiają do niego.

Metal brzęczy, czuję w kieszeni krzepiący ciężar. Podchodzę do kamiennych drzwi. Nie dziękuję Hrolfowi za troskę. Mimo że w głębi ducha rzeczywiście chciałbym coś powiedzieć. Zaraz potem przypominam sobie jednak, że gdyby ten z pozoru ludzki, siwowłosy staruszek poznał moje prawdziwe nazwisko, zabiłby mnie bez wahania jak każdy inny.

– No, to do jutra. – Wsuwa klucz do zamka. Kamienna płyta odsuwa się ze zgrzytem.

– Do jutra. – Wychodzę na zimny, porywisty wiatr Letens i skręcam w kierunku teatru.



Letens to dziwne miasto.

Tutaj, u południowych krańców cywilizacji, ponad piętnaście lat od przystąpienia do Hierarchii, cateńskie wpływy wciąż nie zdołały zatrzeć śladów starego świata. Oświetlone latarniami ulice są kręte, błotniste i wąskie, niedostosowane do zasilanych Wołą bryczek i powozów, które od czasu do czasu muszą się nimi przeciskać. Architektura jest mocno zróżnicowana, od drewnianych klocków ledwie pełniących podstawowe funkcje mieszkalne, po wysokie, otoczone murami rezydencje z kamienia – te należą do obywateli. Ponad wszystkim wznosi się w oddali ozdobiona licznymi malowniczymi łukami świątynia Jovana, która stanowi zwieńczenie tensjańskiego forum. Otaczają ją pozostałości świętego gaju druidów; to on niegdyś stanowił serce miasta. Ale druidów już nie ma.

Więzienie teoretycznie nie znajduje się na przedmieściach, lecz Letens jest rozległe i po ponad dziesięciu minutach marszu wciąż mam do centrum kawałek drogi. O tak późnej porze na ulicach spotyka się najczęściej żołnierzy w czerwonych płaszczach, choć pojawiają się także inni mieszkańcy, dzielnie zmagający się z lodowatym, wiejącym z południa wichrem. To głównie octavusowie. Można ich poznać po tym, że gdy prowadzą ściszo-

ne rozmowy w swym rodowitym tensjańskim, unikają kontaktu wzrokowego. Niektóre kobiety noszą stole z wyszytymi nad lewą pierśią imionami dzieci. Z dumą podkreślają w ten sposób swój wkład w Hierarchię. Prócz tego szczegółu ich odzienie jest brudne i złachmanione.

Paradoksalnie tutaj, na dalekim południu, Hierarchia jest mniej widoczna niż niemal wszędzie indziej na świecie. Czasami tłumaczę sobie, że właśnie z tego powodu przestałem uciekać.

Oczywiście powinienem uczciwie dodać, że nie mały udział miały również samotność i głód.

Teraz przynajmniej głód nie stanowi problemu.

Milczące ulice doprowadzają mnie wreszcie do nieoświetlonej alejki, niemal niewidocznej w długim cieniu brzydkiego, chylącego się budynku. Pod podeszwami chlupie błoto. Dawniej tego rodzaju boczne zaułki były dość niebezpieczne. Przestępczość w Letens istnieje nadal, lecz obecnie jej przyczyną jest raczej pragnienie zaznania przyjemnego dreszczyku zakazanych emocji niż konieczność zmuszająca do przemocy. Cateńscy bardzo poważnie traktują prawo urodzenia – zestaw zasad rzekomo chroniący ludzkie życie. Wszyscy desperaci, którzy ośmielają się je łamać, nieuchronnie trafiają na Płyty.

W chwili gdy za moimi plecami dogasa światło sączące się z głównej ulicy, wypatruję krótkich schodów. Prowadzą w dół do niemal niewidocznych drzwi, a te otwierają się poniżej poziomu gruntu. Otwieram je bez pukania. Wchodzę do niewielkiego, dusznego pokoju. Przy stoliku w kącie siedzi trzech mężczyzn i kobieta. Na mój widok przerywają rozmowę, lecz kiedy mnie rozpoznają, napięcie natychmiast znika z ich twarzy.

– Vis, mój chłopcze! – Septimus Ellanher wstaje i wita mnie swoim donośnym, arystokratycznym tonem.

Jej kanciąstą twarz rozjaśnia drapieżny uśmiech. Kobieta jest dobrze zbudowana. Przerasta mnie o głowę, a masa falujących, kruczoczarnych loków spływa swobodnie aż po pas. Jest spokojna, w blasku świec wyraźnie dostrzegam jej mięśnie i bliźny na obnażonych ramionach.

– Właśnie ciebie było mi trzeba!

Ostrożnie zamykam za sobą drzwi i obrzucam ją obojętnym spojrzeniem. Tak ciepłe powitanie zupełnie do niej nie pasuje.

Ellanher przewraca brązowymi oczami, upstrzonymi burztynowymi plamkami. Moja mało entuzjastyczna reakcja nie zdołała stłumić jej jowialności.

– No proszę cię. Czy dama nie może się już ucieszyć z przybycia ulubionego wojownika?

– Dama z pewnością może – rzucam i pozdrawiam siedzących przy stole mężczyzn uprzejmym ruchem głowy.

Są więksi nawet od Ellanher, wyżsi i masywniejsi, lecz brak im tak dużej charyzmy. Dwóch, Carena i Othmara, znam z poprzednich nocy. Odpowiadają mi skinieniami, a w ich spojrzeniach błyska niechęć.

– Czego chcesz?

Ellanher śmieje się gardłowo, niestropiona. Wie, że żartuję. Zresztą i tak wzięła moje słowa za komplement.

– Szelma. Ale cóż, mam dla ciebie dzisiaj specjalną walkę.

Nie podoba mi się sposób, w jaki jej towarzysze na mnie patrzą. Wyraźnie na coś czekają. Jak większość ludzi są octavusami i regularnie cedują połowę swej Woli na rzecz septimusa. Na myśl o tym przebiegają mnie ciarki.

Dzisiejszej nocy jest, rzecz jasna, inaczej. Zazwyczaj swoją Wolę ceduje się raz na zawsze. Hierarchia organizuje i śledzi wypełnianie tego rodzaju umów bardzo pieczołowicie, a zwrócić Wolę może tylko ten, kto ją kontroluje. To właśnie zrobili dziś septimusowie tych mężczyzn – najpewniej w zamian za udział w zyskach. Oczywiście jest to nielegalne. Aczkolwiek podobne występki karane są jedynie niedużą grzywną.

Dowolny z tej trójki mógłby złamać mi kark jedną ręką. Na szczęście nieprzerwane cedowanie Woli przyćmiło ich umysły i spowolniło reakcje, nawet jeśli teraz, tymczasowo, znów są sobą. Coś im odebrano na zawsze. Nie rozumieją nawet, że zostali złamani, a to właśnie czyni ich świetnym materiałem na chłopców do bicia.

Od początku było im nie w smak, że ja, drobniejszy i młodszy, chłopcem do bicia nie jestem.

– Specjalna walka – powtarzam, ponownie skupiając uwagę na Ellanher.

– Tak, drogi chłopcze! Kilka dni temu skontaktował się ze mną pewien mężczyzna. Starszy, elegancki. Imienia nie zdradzę, lecz to człowiek szeroko znany w północnej Tensji. Rycerz, dasz wiarę? Doszły go słuchy o naszych widowiskach. Dowiedział się od znajomego, który od czasu do czasu korzysta z naszej gościnności. I człowiek ów wystąpił z niesłychanie intrygującą propozycją. Jego syn, niestety, narobił sobie długów i... – Ellanher zauważa moje teatralne ziewnięcie i marszczy czoło. – To sextus – kończy lekko zgryźliwie, rozczarowana, że zepsułem jej wstęp. – Dzisiaj staniesz do walki z sextusem.

W pierwszej chwili sędzę, że się przesłyszałem, lecz zadowolone miny na twarzach octavusów błyskawicznie wyprowadzają mnie z błędu. Mam stać się mięsem w trybach maszyny do mielenia.

Mam wrażenie, że w pokoju brakuje powietrza.

– Na jakich zasadach? – Z ulgą stwierdzam, że głos mi się nie łamie. Nie słychać w nim też gniewu ani strachu. Ellanher musiała przygotowywać to od dawna. Poinformowała mnie w ostatniej chwili, ponieważ wie, że się nie wycofam, gdy starcie zostało już umówione, a widownia czeka.

Gdybym zrejterował, już nigdy by mnie tu nie wpuszczono.

– Bez broni. Bez zabijania.

– Postaram się jak mogę – mruczę, choć zawarta w tych słowach odwaga nawet w moich uszach brzmi fałszywie. Spuszczam wzrok, próbuję się pogodzić z tym, co ma się wydarzyć. Po chwili podnoszę głowę i patrzę jej w oczy. – Potrójna stawka.

– Podwójna.

– Poczwórna.

– Kochanie, kiedy się targujesz, powinieneś szukać kompromisu.

Milczę, świdruję ją spojrzeniem.

Zapada cisza. Wreszcie Ellanher parska cichym, wysokim śmiechem. Tak dziewczęcy głos w ustach równie potężnej osoby brzmi nienaturalnie.

– W takim razie potrójna. Ale żadnych dodatków na medyka, nawet jeśli będzie musiał latać tę twoją przystojną buźkę.

Prawdopodobnie będzie musiał, lecz lepszego interesu już nie ubiję. Wskazuję wąski korytarzyk, prowadzący w głąb budynku. Sygnalizuję zgodę i jednocześnie zapraszam, by mnie poprowadziła. Kiedy odchodzimy, trójka przy stole znów patrzy na mnie spode łba. Liczyli, że zareaguję bardziej widowiskowo.

W głębi ducha wciąż mam ochotę zwiać.

Idziemy bez słowa i po krótkiej chwili trafiamy do tak zwanego biura Ellanher – za dnia i wczesnym wieczorem to samo pomieszczenie służy za garderobę. Nie po raz pierwszy uderza mnie jego wygląd. Jasno oświetlone lustro, toaletka zastawiona kosmetykami w fiolkach. Ozdobione piórami kapelusze, miękkie futrzane płaszcze oraz stojak z całą kolekcją rozmaitych sukienek. Dziwnie jest wyobrażać sobie Ellanher, jak szykuje się tu, by śpiewać, tańczyć i deklamować na tej samej scenie, na którą pośle mnie, by jakiś osiłek rozbił mi łeb.

Kobieta podchodzi do ściennego sejfu. Zdejmuje z szyi klucz Woli i wsuwa do dziurki. Granitowa zasuwka ustępuje i drzwiczki odsłaniają starannie ułożone stosy monet. Skrytki zabezpieczane Wolą są stokroć bardziej bezpieczne od swoich mechanicznych odpowiedników. A przy tym stosownie droższe. Nocny interes Ellanher musi przynosić sowite dochody.

Ellanher odlicza moje wynagrodzenie – sześć srebrnych trójkątów, równowartość sześćdziesięciu miedzianych – po czym wciska mi pieniądze do ręki.

– Vis, przyznam, że jestem ciekawa. – Zamyka sejf. Odkąd znaleźliśmy się sam na sam, jej udawana arystokratyczna aura zniknęła. Rozumie, że nie robi to na mnie tak mocnego wrażenia, jak na innych. – Kwoty, jakie tutaj zarabiasz, trudno nazwać fortuną, ale to i tak sporo jak dla sieroty. I jesteś skłonny narażać się bardziej, byle zgarnąć jeszcze więcej. Na co to wszystko?

Długi? Kobieta? Jakaś słabostka, do której nie masz odwagi się przyznać? – Stara się przybrać lekki ton, lecz to nie żarty. Przeciwnie. Drażni ją, że czegoś o mnie nie wie.

– Ten sextus, z którym mam walczyć... Zakładam, że będzie cedować?

– Oczywiście. – Jeżeli nawet poczuła się urażona, że tak obcesowo zignorowałem pytanie, nijak tego nie pokazuje. – Nie chcę przecież, żeby cię zatłukł, mój chłopcze.

– Tak, wystarczy dotkliwie pobicie.

Ellanher taksuje mnie wzrokiem i podejmuje w duchu jakąś decyzję.

– Owszem. – Bez przeprosin, bez wyjaśnień. – I pamiętaj, Vis, opór słabszego rywala bywa zabawny, ale tylko do pewnego momentu. Nagle może zacząć coś znaczyć. Coś, co zwróci uwagę Cateńczyków.

Zaciskam monety w dłoni. Ostre wierzchołki trójkątów boleśnie wbijają mi się w skórę. W ciągu kilku ostatnich miesięcy stawałem się coraz większym wyzwaniem dla walczących ze mną septimusów. Na domiar złego ostatnio częściej wygrywam, niż przegrywam. Zaczęło mi to nawet sprawiać przyjemność. Niedobrze. Mogłem przewidzieć, że ludzie zwrócą na mnie uwagę, zaczną rozmawiać na mój temat, a w pewnych dzielnicach spojrzą na to krzywym okiem.

– Do zobaczenia na scenie – warczę, odwracam się na pięcie i wychodzę pospiesznie. Boję się, że następne słowa tylko pogorszą sytuację.

Słabo oświetlone korytarze wydają się ciaśniejsze niż kiedykolwiek. Trzewia największej sali widowiskowej w Letens to labirynt prywatnych pokojów i garderób, w większości zamkniętych, gdyż ostatni aktorzy wyszli z teatru ponad dwie godziny wcześniej. Idę bez zawahania. Niemal instynktownie kieruję się do schodów prowadzących na szczyt widowni. Od ponad sześciu miesięcy bywam tu trzy razy w tygodniu. Znam drogę.

Towarzyszy mi jedynie lęk przed tym, co mnie czeka, aż jestem na górze, skąd szmer ludzkich głosów wdziera się do mojej świadomości.

Zjawili się już pierwsi przybysze tej nocy. Za mniej więcej pół godziny ich pomruk przerodzi się w głośny, pełen wyczekiwania gwar, unoszący się nad zapełnionymi siedzeniami. A kiedy rozpocznie się pierwsza walka nocy, salę wypełni ryk.

W końcu staję w najwyższym rzędzie półkolistego amfiteatru z białego kamienia, niezauważony przez widzów. Scena zdaje się odległa. Sala mieści jednocześnie aż kilkaset osób. Dawniej nie było tu dachu, obecnie rozciąga się nade mną nieco przytłaczająca, tłumiąca dźwięki kopuła. Wykonana została z trzech warstw, na specjalne zamówienie, przez cateńskich architektów. Konstrukcję ufundowali zamożni obywatele miasta, przybysze z samego Catenu. Rzekomo okrzyki wznoszone przez miejscowych widzów w reakcji na rubaszne tensjańskie przedstawienia przeszkadzały im w zażywaniu wieczornego odpoczynku.

Masywna, kamienna kopuła nie zaskarbiła sobie serc Tensjan – zalet estetycznych nie posiada, o czym dobitnie świadczy dość wulgarny przydomek, jaki jej nadali. Niemniej jest skuteczna. Nie dobywa się spod niej nawet najdonońsza wrzawa.

Rozglądam się i po krótkiej chwili udaje mi się wypatrzeć człowieka, którego szukałem. Ściska w rękę znajomy czarny zeszyt. Prowadzi z kimś ożywioną rozmowę. Jak na octavusa Gaufrid jest bardzo dziarski, mimo że przeszło dekada cedowania wyraźnie odcisnęła na nim swoje piętno – choć dobiega czterdziestki, wygląda na pięćdziesięciolatka. To, co oględnie nazywa wysokim czołem, jest już prawie całkowitą łysiną, aczkolwiek ostatnie kosmyki piaskowej barwy zawsze nosi starannie przystrzyżone i zaczesane. Z jakiegoś powodu na dzisiejszy wieczór założył paskudny zielony strój.

Kręcę się w pobliżu wyjścia, unikając spojrzeń gęstniejącego tłumu. Czekam cierpliwie, aż w końcu spotykamy się wzrokiem. Gaufrid przeprosza rozmówcę i podchodzi żywym krokiem.

– Vis!

– Gaufrid. – Omiatam spojrzeniem jego ubranie. – Co to ma być? Zakład przegrałeś?

– Ha. Ha. Żona wybrała, skoro już musisz wiedzieć.

– Pewnie chce mieć pewność, że jej nie zdradzisz.

– Bydlak z ciebie. – Szeroki uśmiech dowodzi, że sam również nie docenia gustu małżonki. Chwyta moją dłoń i niczym spiskowiec zaciąga mnie w mocno zacienione miejsce. – Spójrz, twoja wielbicielka wróciła.

Spoglądam we wskazanym kierunku i dostrzegam na widowni dziewczynę. Mimo że pod kopułą jest ciepło, nie zdjęła grubego, czarnego płaszcza. Musi być mniej więcej w moim wieku, może parę lat starsza. Ciemna skóra, długie, kasztanowe loki. Pochyla się na siedzeniu, ignorując sąsiadów, zapatrzona w pustą scenę poniżej. Jest w tym coś niepokojącego. Niespodziewanie dekoncentruje się i rozgląda, ściągając brwi, po czym nasuwa kaptur na głowę. Ukrywa twarz. Zupełnie jakby wyczuła nasze spojrzenia.

– Szczęściarz ze mnie. – Nie zamieniłem z nią nawet słowa, ale pojawiła się na wszystkich walkach w ciągu dwóch ubiegłych tygodni. Rozpytuje o mnie dyskretnie. Gaufrid sądzi, że to romantyczne. A ja boję się, że mnie rozpoznała. – Ale nadal nie jestem zainteresowany.

– W takim razie zachowam się jak dobry przyjaciel i dalej będę jej tłumaczyć, że jesteś równie zagadkowy, jak przystojny. – Mimo wszystko sprawia wrażenie zawiedzionego. – No dobra. Chcesz obstawić?

Czuję w kieszeni ciężar pieniędzy. Przeliczam je w myślach. Gaufrid nieoficjalnie przyjmuje w teatrze zakłady. Udają się do niego kibice, którzy gotowi są zaryzykować pewną kwotę i mieć przy tym realną szansę na wygraną.

– Tak. Ostatnią walkę wieczora.

– Octavus czy septimus?

– Wyjątkowa sytuacja – krzywię się. – Sextus.

Robi zdumioną minę, krew odpływa mu z twarzy. Łapie mnie za rękę i prowadzi w głąb bocznego korytarza.

– Zwariowałeś?

– Dowiedziałem się dopiero pięć minut temu. Niewiele mogłem zrobić.

Niemal widzę, jak umysł Gaufrida zaczyna gorączkowo pracować, wychwytyję moment, w którym dociera do niego, że to musi być kara.

– Natychmiast wracaj do Ellanher. Powiedz, że przez cały następny miesiąc podłożysz się każdemu septimusowi, jakiego przeciw tobie wystawi. Na taki kompromis pójdzie. – Na twarzy przyjmującego zakłady maluje się najprawdziwsza troska. – Vis, to przecież sextus. Wystarczy, że raz źle wymierzy cios, a pęknie ci czerep. Choćby przypadkiem. Nawet jeśli ten facet... Facet? – Marszczy brwi, a ja potakuję skinieniem. – Nawet jeśli facet ceduje, w każde uderzenie włoży siłę dziesięciu ludzi! Rozumiesz to chyba, co?

– Dokładnie dziewięciu ludzi i ćwierci dziesiątego – poprawiam go poirytowany. – Poza tym skoro musi zarabiać tutaj, raczej nie ma doświadczenia w posługiwaniu się Wolą. A jeśli cedują na niego słabi septimusowie, może być wart jedynie trzech czy czterech.

Rozwiązanie zbliżone do zasugerowanego przez Gaufrida przeszło mi już wcześniej przez myśl. Może to duma, może upór, ale nie zrobię tego. Nie pójdę do Ellanher. Zbyt ciężko pracowałem, odniosłem zbyt wiele ran i wycierpiałem za dużo drwin, by znowu dawać się pokonać.

Co więcej, nie chodzi mi wyłącznie o pieniądze. Już dawno wyrzekłem się marzeń o zemście na Republice, lecz to wcale nie znaczy, że nie zamierzam się jej przeciwstawić.

A to dobry trening.

Gaufrid burczy coś pod nosem. Nie wiem, czy bardziej prężył się moim losem, czy perspektywą utraty zysków z naszej obojnie korzystnej umowy. Nie mogę zagwarantować zwycięstw, nigdy też się nie podkładam, lecz większość walczących tu septimusów to stali bywalcy: tych, z którymi jeszcze nie walczyłem, dokładnie obserwowałem. A to oznacza, że raczej umiem trafnie ocenić swoje szanse. I co ważne, jestem zwykle w stanie dowolnie przeciągnąć długość starcia, nawet jeśli nie przebiega po mojej myśli.

Dlatego najczęściej obstawiam, jak długo wytrwam na scenie, a Gaufrid korzysta z tej informacji, by dostosować stawki oferowane pozostałym klientom.

– Jaka będzie twoja propozycja za trzy minuty? – Brzmi to co najmniej groteskowo, lecz cóż. I tak wpadłem po uszy. Równie dobrze mogę spróbować na tej historii zarobić.

– Vis. – Gaufrid śmieje się z niedowierzaniem. – Kiedy ogłoszą, z kim walczysz, nikt nie obstawi nawet, że przetrzymasz trzy sekundy.

Milczę.

– No dobrze – wzdycha, widząc, że nie ustąpię. – Dwadzieścia do jednego.

– Za trzy minuty?

– Lepszej propozycji ode mnie nie usłyszysz – zapewniam. – Zrozum, nie mam przecież nawet gwarancji, czy nie dogadałeś się z tym sextusem. Kto wie, może planujecie podzielić się jego wygraną?

– Nie zrobiłbym czegoś takiego. Nie tobie – rzucam urażony.

– Wierzę. Ale ryzyko pozostaje.

– No to może dwie minuty?

– Taka sama stawka. – Gaufrid mierzy mnie poważnym spojrzeniem. – Za minutę też.

Krzywię się, lecz znam go na tyle, by wiedzieć, że nie ustąpi. Jest przekonany, że mi pomaga; że lepiej dla mnie będzie, jeśli zamiast myśleć o dużych pieniądzach, po prostu jak najszybciej przegram.

Wyciągam z kieszeni cztery srebrne trójki i mu podaję.

– Więc ponad minutę. I mniej niż półtorej.

Gaufrid odbiera monety, patrzy na nie i gwizdza pod nosem.

– No proszę, dziś jesteś nie tylko głupi, ale i bogaty. Zgoda.

Wrzuca pieniądze do sakiewki zwisającej u pasa. Niczego nie zapisuje w swoim czarnym zeszycie, nie notuje kwoty ani zaofiarowanej mi stawki. To jednak norma. Gaufrid szczyli się niesamowitą pamięcią, a wiem, że umowy dotrzyma. Chociażby dlatego, że o naszym układzie wie Ellanher, i choć ona również

pobiera swój procent, gdyby doszła do wniosku, że przyjmujący zakłady pośrednik oszukuje jej zawodników, rozszarpałaby go na kawałki – niewykluczone, że dosłownie.

Jesteśmy zatem dogadani. Odwracam się, lecz Gaufrid kładzie mi rękę na ramieniu i zatrzymuje.

– Wiesz, to nie żadna ujma, jeśli zrezygnujesz po pierwszej krwi. – Wygląda na zirytowanego, a może nawet rozgniewanego, że musi mi tłumaczyć takie proste rzeczy. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jaki wynik będą obstawiać widzowie. – Rozumiem, że nie leży to w twojej naturze, ale Vis, gdybyś kiedykolwiek planował pójść po rozum do głowy i nie ulegać własnej dumie, to dziś nadarza się ku temu znakomita okazja.

Uwalnia mnie i wraca do amfiteatru, by paradować między ludźmi w tym swoim komicznym zielonym stroju.

Kiedy schodzę po schodach, wciąż słyszę w duchu echo jego przestrogi. Tym razem kieruję się do pomieszczenia przy scenie, w którym zawodnicy czekają na swoją kolej. Rada Gaufrida mogła być słuszna. Każdy z rywali może poddać walkę, kiedy pojawia się krew. A ta bez wątpienia popłynie jeszcze przed końcem pierwszej minuty, i to bez względu na to, jak szybko i zwinnie będę robić uniki.

Ale to przecież tylko minuta. Minuta warta osiem złotych monet. Dwa razy więcej, niż zdołałem oszczędzić, odkąd w ogóle zacząłem się tu pojawiać.

I wcale nie chodzi wyłącznie o zarobek. Ostatnio coraz wyraźniej czuję na karku ciężar nieubłagania mijającego czasu. Dwa miesiące temu skończyłem siedemnaście lat, choć w rejestrach Hierarchii przy nazwisku Vis Solum można znaleźć informację, że wiek ten osiągnę dopiero za dziesięć tygodni. Chwilami żałuję, że kiedy trafiłem do sierocińca, nie nagiąłem prawdy jeszcze bardziej. Uznałem jednak, że nie warto aż tak ryzykować. Wolałem nie zwracać na siebie uwagi. Tak czy inaczej, mój oficjalny wiek oznacza, że już za nieco ponad rok prawo upomni się o moją Wolę. Albo sceduję ją przy jednej z Aurora Columnae, albo oddam na Płycie.

A wszystkie znane mi sposoby na uniknięcie tego losu wiążą się z poważnymi wydatkami.

Głęboko zamyślony przechodzę kilka ukrytych na tyłach korytarzy i docieram do pomieszczenia po prawej stronie sceny, w którym octavusowie przygotowują się do starć. Surowo urządzone wnętrze jest akurat na tyle przestronne, aby wygodnie pomieścić tuzin oczekujących już mężczyzn. Przy drzwiach, jak zwykle, stała tymczasowa, przenośna kapliczka Miry. Nie poświęcam jej nawet spojrzenia. W pomieszczeniu unosi się woń starego potu i zwierzęcego łoju, którym zawodnicy nacierają ramiona. Wszyscy obecni truchtają w miejscu, podskakują, starając się rozruszać zeszywniałe mięśnie.

Nikt nie przerywa rozgrzewki, lecz czuję na sobie ich ukradkowe spojrzenia, gdy szukam dla siebie wolnej przestrzeni. A więc już wiedzą.

Podobnie jak wcześniej Othmar i Caren, tak i ci wojownicy nie przyglądają mi się ze szczególnym współczuciem. Mam wrażenie, że od początku traktowano mnie tutaj jak dziwoląga. Do wieku najmłodszego z obecnych brakuje mi przynajmniej dwóch lat i dysponuję przy tym najmniej imponującą muskulaturą. Choć cherlakiem nie jestem. Starcia w teatrze, by nie wspomnieć o wcześniejszym okresie walk gladiatorów w lidze victorum, uczyniły moje ciało bardziej żyłastym i silnym, niż wydawało się możliwe. Pozostali zawodnicy jednak zostali wytypowani ze względu na sylwetki. Wszyscy bez wyjątku są jak żywe góry mięśni.

A dzisiaj to ja mam zmierzyć się z sextusem, nie oni. Niektórych dotknie to osobiście. Uznają, że Ellanher chce w ten sposób nagrodzić mnie za ostatnie pasmo zwycięstw. Nie rozumieją, że w rzeczywistości spotyka mnie kara. Inni z kolei ucieszą się na myśl, że po tej walce na pewien czas wypadnę z obiegu.

Czas dłuży się w nieskończoność. Kose spojrzenia ćwiczących mężczyzn dodatkowo wzmagają mój niepokój. Z amfiteatru dolatuje coraz głośniejszy szum ekscytacji, który wreszcie raptownie milknie, gdy rozlega się głos Ellanher. Jej zapowiedź

umiejętnie buduje napięcie. Słysząc śmiechy, wiwaty. Kibice ją uwielbiają. Mija dziesięć minut, to wystarczy, aby wszyscy chętni zdążyli obstawić pierwszą walkę.

Wreszcie otwierają się drzwi prowadzące na scenę i zagląda do nas Idonia. Mówi się, że to młodsza kuzynka Ellanher, choć przez jej jasną, krótko przystrzyżoną fryzurę i niebieskie oczy trudno doszukać się pomiędzy nimi podobieństwa.

– Pabul – rzuca, przywołując do siebie olbrzyma o długich rudobrazowych włosach, któremu brakuje jednego zęba na przedzie.

I rozpoczyna się wyliczanka imion. Na scenę wychodzą kolejni zawodnicy. Nie wracają tą samą drogą. Oczekujący nie poznają wyników kolejnych starć aż do końca wieczoru.

Zazwyczaj można się ich jednak domyślić. Kiedy walka jest wyrównana, wydawane przez tłum okrzyki nabierają określonego, specyficznego brzmienia. Bardzo charakterystycznie fetowane są również co paskudniejsze rany.

Dzisiaj staram się nie zwracać uwagi na odgłosy, skupiam się na opracowaniu strategii. Myślałem o takiej walce już wiele razy wcześniej, zawsze jednak czysto hipotetycznie. Broni nie będzie, a to już coś. Z drugiej strony większość sextusów potrafi nasycić dowolny przedmiot. Przelotny dotyk rywala wystarczy, by zaczęła mnie dusić własna koszula. Ewentualnie, gdyby przeciwnik chciał ukryć oszustwo, mogłaby – w odpowiednio wybranym przez niego momencie – wytrącić mnie z równowagi. Kłopotliwe, a uniknąć tego można tylko w jeden sposób.

Co oczywiście, rywal będzie silny. Przez chwilę rozważam, czy nie powinienem mu pozwolić czegoś nasycić. Nikt przecież nie dysponuje nieskończonymi zasobami Woli, a jeśli przeleje pewną jej dawkę w przedmiot, straci możliwość wzmocnienia tą porcją samego siebie. Szybko jednak odrzucam ten pomysł. W tym scenariuszu pechowy cios w głowę, zamiast zabić, uczyniłby mnie kaleką. Marny zysk.

Istnieje też kwestia szybkości. Tę znacznie trudniej przewidywać i jest to jedyne źródło mojej nadziei. Cedowana na mojego

przeciwnika Wola skróci czas jego reakcji, lecz będzie zapewne jedynie odrobinę szybszy od przeciętnego septimusa. Bardziej istotną rolę mogą odegrać doświadczenie i poziom wykszolenia. A jeżeli ten sextus stanął do dzisiejszej walki wyłącznie z myślą o łatwym zarobku, to możliwe, że nie będzie tak zdyscyplinowany jak moi dotychczasowi przeciwnicy.

Kiedy rozważam rozmaite strategie, pomieszczenie powoli pustoszeje. Robi się coraz ciszej. Zostaje tylko gęsty smród. Okrzyki widzów to narastają, to słabną.

Ostatecznie zostają sam.

Rozbieram się, powoli i metodycznie. Płaszcz, tunika, bielezna. Wszystko starannie składam w schludny stosik. Muszę wierzyć, że te ubrania jeszcze mi się przydadzą. Następnie sięgam do garnka z łojem i nacieram całe ciało. To dość obrzydliwe, lecz gdyby sextus zdołał mnie zamknąć w uścisku, mógłby mnie zmiażdżyć lub połamać kości. A rozsmarowany łój nie zachowa trwałego kształtu, więc nie sposób go nasycić.

Ledwie zdążyłem się nasmarować, drzwi stają otworem.

– Vis, twoja... – Idonia urywa na mój widok. Otwiera szeroko oczy i się odwraca. Jest zdecydowanie bardziej wstydliva niż jej kuzynka. – O, już jesteś gotowy... Znaczą teraz ty. Twoja kolej. – Policzki zalewa jej czerwony rumieniec. Niemal wybiega z powrotem na scenę.

Idę za nią. Śmieję się pod nosem, choć przede wszystkim po to, by nie myśleć o krępującej naturze sytuacji. Ludzi wiodących żywot zbiega rzadko stać na takie luksusy jak przyzwoitość. Wystarczyło pierwsze półtora roku, a skutecznie wybito mi z głowy wszelkie skrupuły i zahamowania. Niemniej nagość zawsze jest w pewien specyficzny sposób niepokojąca. W duchu nadal czuję się zażenowany i odsłonięty, nie tylko fizycznie. Mimo że wiem, że pomysł jest dobry.

Korytarz prowadzący na scenę jest krótki. Ellanher kwieściście anonuje występ sextusa. Powietrze przepełniają świeże emocje, słysząc szmer podekscytowania i stłumione okrzyki. Wciąż zarumieniona Idonia podbiega do kuzynki, szepcze jej coś na ucho.

Ciemnowłosa kobieta odwraca się gwałtownie i zerka w moją stronę. Czuję na sobie nieodgadnione spojrzenie brązowych oczu. Gdy wychodzę na scenę, mina kobiety nie zmienia się ani trochę, nawet kiedy kibice zauważają moją nagość i reagują śmiechem przetykanym gwizdami. Wymijam Ellanher i staję przodem do skrytej w półmroku widowni. Wsłuchuję się w ich głosy, uśmiech rozciąga się na mojej rozpalonej twarzy. Unośzę ręce. Śmiech rozbrzmiewa jeszcze głośniejsze, lecz jest w przeważającej mierze wyrazem aprobaty, nie doszukuję się w nim drwiny. Pewność siebie – prawdziwa czy udawana – wywiera na ludzi wyjątkowy wpływ.

Oglądam się przez ramię na Ellanher. Nie patrzy na mnie w tej chwili, lecz w jej oczach zaszła jakaś zmiana. Jest zaskoczona. Może nawet wstrząśnięta. Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy zobaczyła moje plecy. Pokrywającą je sieć straszliwych, nawarstwionych blizn i szram. Nieistotne. Wątpię, by rozumiała, co oznaczają, a nie mam najmniejszego zamiaru jej wtajemniczać.

Wychwytyję ruch po drugiej stronie sceny. Mój oddech natychmiast przyspiesza.

Sextus jest... imponujący. Na oko jakieś dziesięć lat starszy ode mnie. Wysoki. Atletycznie zbudowany – nie składa się, jak octavusowie, z samych mięśni, lecz biją od niego wdzięk i siła. Sprężyście wychodzi zza kulis, pozdrawia mnie swobodnym uśmiechem i macha ręką do widowni, na której rozlega się zapalczywy ryk aprobaty. W dodatku jest przystojny. Brązowe włosy zaczesał w modną, krótką fryzurę, a wyraziście zarysowaną szczękę porasta ciemna, kilkudniowa szczecina. Od razu staje się faworytem kibiców.

Zsuwa z nosa ciemne okulary – dowód, że jest sextusem, nikt niższej rangi nie ma prawa ich nosić – i przekazuje je Ellanher. Kiedy mnie zauważa, jego pewność siebie na moment słabnie. Zaraz jednak powraca uśmiech. Choć teraz bardziej już poważny. Rywal nie jest zadowolony.

W tej chwili i ja się uśmiecham.

Idonia zdążyła już zniknąć. Ellanher staje na przodzie sceny, rozpościera ramiona i wpatruje się w pogrążone w cieniu najwyższe rzędy, jakby dokładnie widziała oblicza siedzących tam ludzi. Zastyga. Szepty ustają, milkną ostatnie pomruki. Zupełnie jakby sam gmach wstrzymał oddech. Wszyscy skupiają się na niej.

Słyszę w uszach donośny szum krwi, gdy odwracam się do sextusa. Kołyszę się na stopach, przygotowuję. Nie padnie żadna zapowiedź, nikt nie wymieni naszych imion. Nie tutaj.

Wreszcie, zadowolona z poziomu napięcia, Ellanher opuszcza ramiona. Lekkim krokiem schodzi ze sceny i słychać już tylko jedno jej słowo. Słowo, które rozcina ciszę niczym ostrze sztyletu.

– Zaczynajcie.



Ryk tłumu uderza w scenę z siłą morskiej fali. Napiera z ciemności. Wrzawa wprawia mnie w stan uniesienia. Te wiecznotrwałe momenty, chwile o sekundy wyprzedzające początek starcia są doprawdy wyjątkowe. Krew pulsuje w żyłach. Walczę o utrzymanie spokojnego oddechu. Nie jestem pewien, czy to ekscytacja, czy strach, lecz wyostrzają się wszystkie zmysły, skóra łaskocze, a dłonie drżą z niecierpliwości. Sekundy dłużą się niemiłosiernie, każdy szczegół sceny i sylwetki przeciwnika staje się wyraźniejszy. Stare, białe płyty pod moimi nogami pokryte są pajęczą siecią pęknięć; gdzieś na kamieniu widnieją plamy świeżej krwi. Powietrze jest ciepłe i gęste od parujących ciał stłoczonych pod kopułą.

Zauważam ledwo dostrzegalny grymas na wargach sextusa. Rywal rusza naprzód. Jego zielone oczy stają się czarne, błyszczą w świetle pochodni rozmieszczonych wokół sceny.

Ellanher pytała, po co to wszystko robię. Tłumaczę sobie, że dla zarobku, dla wprawy. Żeby przetrwać. I wszystko to prawda, lecz kiedy skuwające mój umysł kajdany spadają, uświadamiam sobie jeszcze inną, głębiej ukrytą prawdę.

To jedyne miejsce na świecie, gdzie nie muszę udawać, że jestem sympatyczny. Nudny. Służalczy. Zmęczony.

Tylko tutaj nie muszę się w żaden sposób ograniczać.

Odmierzam czas w myślach. Pięć sekund.

Scena jest przestronna, półkole o promieniu mniej więcej pięćdziesięciu stóp. Szereg pochodni wytycza granice zawodnikom. Jeśli jeden z nas tę linię przekroczy, to natychmiast koniec pojedynku. Oczywiście to oznaczałoby też koniec mojej kariery. I nie tylko. Ellanher już przed moją pierwszą walką dała jasno do zrozumienia, że uciekając przed rywalem, narażę się jedynie na więcej bólu i ran, niż otrzymałbym, zostając na scenie do regulaminowego końca.

Ruszam na środek, ustawiam się skosem do sextusa.

W jego ruchach widać determinację, lecz nie spieszy się z nadto. Zdaje się, że rywal poświęca wiele uwagi na zachowanie pozornej swobody. Pokazując po sobie napięcie, okryłby się wstydem. To dobrze. W tej sytuacji będzie raczej udawać znużenie, jest więc szansa, że nie spróbuje mnie zmęczyć w trakcie decydującej pierwszej minuty.

Kiedy podchodzi, cofam się i zaczynam krążyć, aby utrzymać się poza jego zasięgiem. Idzie za mną, nadal tym jednostajnym, spokojnym tempem. Piętnaście sekund.

W tłumie rozlega się pierwszy drwiący okrzyk, szybko podejmują go inne głosy. Drażnią mnie. Prowokują nas obu. Sextus nieznacznie przyspiesza kroku. Ja również, na co widownia reaguje wzmożonymi kpinami.

Nie obchodzi mnie to. Mam w zwyczaju zadawać ciosy i ryzykować jedynie, gdy uważam to za słuszne, nieważne, jak wygląda to z zewnątrz.

Dwadzieścia pięć sekund. Z widowni dochodzi nas mnóstwo sprośnych dowcipów o przyjemności, jaką sextus czerpie z pogoni za mną. Śmiechy. W spojrzeniu mojego przeciwnika pojawia się coś mrocznego, dostrzegam to w głębi jego czarnych jak noc oczu. Kibice go rozjuszyli. W innych okolicznościach byłoby mi to na rękę, lecz im więcej gniewu, tym mniej litości. Robię zwód do przodu, jakbym miał atakować. Atletyczny sextus przystaje. Znowu zaczynam krążyć. Trzydzieści sekund. Jak dotąd

mam niewiarygodne szczęście. Wciąż jeszcze nie zaczęliśmy naprawdę walczyć.

Wreszcie zniecierpliwiony przeciwnik zatrzymuje się pośrodku sceny. Ja również przystaję, nawet na mrugnięcie nie spuszczaam go z oczu.

– Octavusie! – grzmi nienaturalnie głośno, jego okrzyk bez trudu przebija się ponad nawoływania kibiców. Zasadniczo nie jestem octavusem, nigdy w życiu nie cedowałem, ale o tym nie wie ani on, ani nikt inny tutaj. – Naprawdę będziemy się tak bawić? Na oczach tych wszystkich ludzi?

Próbuje przerzucić odpowiedzialność na mnie, chce zagrać na mojej dumie. Sprytna taktyka, lecz świadczy raczej o całkowitym niezrozumieniu sytuacji.

Nie odpowiadam. Nie ruszam się. Trzydzieści pięć sekund.

Podchodzi naprzód, cofam się. Tym razem na jego ustach pojawia się nieskrywany grymas.

– Gdybym wiedział, że mój przeciwnik okaże się tchórzem, zastanowiłbym się, czy w ogóle tu przychodzić!

– Powiedział wielki, mężny sextus na widok octavusa – odpowiadam, za co nagradza mnie kilka dolatujących z cienia wybuchów śmiechu.

Ledwie te słowa przebrzmiały, gryzę się w język. Sprowokował mnie do odpowiedzi. Możliwe, że trochę jednak rozumię sytuację.

Zauważa to.

– Ellanher opowiadała mi o tobie – podejmuje wciąż podniesionym głosem, lecz ciszej niż poprzednio. Wątpię, by widzowie mogli go usłyszeć. – Mówiła, że jesteś sierotą. – W jego tonie pojawia się jakaś paskudna nuta, przez którą czuję specyficzny ucisk w piersi. Przygotowuję się na zupełnie inny atak.

Sextus znowu podchodzi, a ja się wycofuję. Czterdzieści pięć sekund.

– Trochę za stary jesteś, żeby być sierotką, co? Z jakiegoś powodu nikt nie chce cię przygarnąć. – Krok naprzód, krok do tyłu. Rywal pokazuje mi idealnie równe zęby. Wzrok ma lodo-

waty i martwy. – Zaczęło się od rodziców, prawda? Znałeś ich w ogóle? Pamiętasz, kiedy cię porzucili, Solum? Czy może całe życie się zastanawiasz, dlaczego cię zostawili? – Krok do przodu, krok w tył. – To oni tak cię chłostali po plecach? Czy po prostu oddali cię obcym, którzy to robili?

Staram się nie dopuszczać tych słów do siebie, lecz niełatwo naraz skupiać się na jego ruchach i ignorować, co mówi. Oczywiście jest w błędzie. Myli się, i to bardzo. Z jakiegoś powodu jednak mój oddech staje się zdecydowanie zbyt płytki. Zaczynam dyszeć. Straciłem też rachubę czasu. Czy upłynęła już pełna minuta?

Czuję na plecach falę ciepła. Pochodnia. Znalazłem się za blisko granicy sceny. Robi się ciasno.

– Głowę dam, że twoi rodzice to jakaś hołota – warczy głucho sextus, zbliża się.

Wszystko dokoła stygnie. Staje się zimne i ostre. Nie tutaj. Nie w jedynym miejscu na świecie, gdzie nie muszę o nich myśleć.

Ruszam naprzód.

Z oddali dolatuje mnie ryk tłumu.

Kiedy się spotykamy, twarz mojego rywala opromienia zadowolenie. Atakuje pierwszy, lecz cios jest przewidywalny, więc przepuszczam jego pędzącą pięść ponad lewym ramieniem. Podchodzę bliżej i błyskawicznie biję go w żebra, po czym odskakuję. Teraz już nie uciekam, choć z gniewu ciemnieje mi w oczach, staram się pamiętać, by zachować pewien dystans. Nie wolno dać się chwycić.

Zadaję mocne uderzenie – nie jestem nawet w przybliżeniu tak ciężki, jak walczący na tej scenie wcześniej octavusowie, lecz jestem szybki. Sextus cofa się o krok. Uśmiezek gaśnie, zastąpiony nieprzyjemnym grymasem. Niestety bardzo krótkotrwały. To raczej wyraz zaskoczenia niż bólu. Gdybym ja tak oberwał, prawdopodobnie pękłoby mi żebro. Septimus skończyłby z sińcem. Ale sextus? Zgromadzona w nim Wola sprawia zapewne, że poczuł zaledwie coś w rodzaju mocnego szturchańca.

– Wrażliwiec z ciebie, co, Solum? – szydzi i znów na mnie rusza.

Warczę i tym razem atakuję pierwszy, lecz rywal jest przygotowany. Wykonuje unik szybciej i płynniej, niż przewidywałem. Niestety nie brak mu doświadczenia. Zbyt mocno się wychyłam, by uchylić się przed nadlatującym łokciem, który zauważam kątem oka.

Cios jest potężny. Trafia mnie bardziej przedramieniem niż łokciem. Właściwie ledwie dotknął mojego lewego barku, ale...

Sunę twarzą po zimnym kamieniu. Pali mnie cały policzek. Nic nie widzę. Rzęzę, próbuję złapać oddech. Słyszę stłumione, zniekształcone wiwaty. Sapię. Odzyskuję świadomość i wzrok akurat wówczas, by udało mi się odturlać spod nóg majającego nade mną sextusa. Dociera do mnie, że przeciwnik nawet nie obdarza mnie spojrzeniem. Stoi tyłem. Na pochwały płynące z ciemnej widowni reaguje niemal obojętnym machaniem.

To było tylko muśnięcie. A mam wrażenie, jakby na głowę zwała mi się cała kopuła.

Przyciskam do policzka prawą dłoń, bo lewe ramię rwie mnie potwornie. Na palcach zostaje lepka warstwa szkarłatu. Uspokajam się i dźwigam na równe nogi. Czuję gorzką wdzięczność za arogancję przeciwnika. Minuta musiała już upłynąć. Wyplata, nie mówiąc o przetrwaniu, czeka na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że zanim się do mnie odwróci, zejdem ze sceny.

A jednak coś wciąż we mnie wrze, w głębi ducha nadal kalkuluję.

Wiem – zarówno czysto teoretycznie, jak i z wcześniejszych starć z septimusami – że nawet cios, który z pozoru nie wyrządził żadnej krzywdy, pozostaje ciosem. Septimus musi dostać przynajmniej dwa razy w to samo miejsce, by w pełni odczuć skutki. W przypadku sextusa jest to zapewne siedem lub wręcz osiem uderzeń.

Moje szanse prezentują się raczej fatalnie. Ale ten idiota stoi do mnie plecami.

Jakiś nieśmiały głos w mojej głowie podpowiada mi, bym zachował rozsądek. Obawiam się jednak, że jest zbyt cichy.

Rzucam się naprzód.

Być może sextus myślał, że padłem na dobre, wykończył mnie. Albo uznał, że zamierzam walczyć honorowo i zaczekam, by na mnie spojrział. Ewentualnie to jednak brak doświadczenia. Nie wiem. W każdym razie zbyt wolno reaguje na wznoszone przez kibiców ostrzegawcze okrzyki.

Wydaję z siebie dziki ryk i wyprowadzam sierpowy, wkładam w ten cios całą furję i energię rozbiegu. Mierzę pięścią w żuchwę, w punkt, którego trafienie pozbawiłoby zmysłów każdego zwyczajnego człowieka.

Dopiero w ostatniej chwili rywal zdaje sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale udaje mi się zadać niemal perfekcyjny cios.

W momencie zderzenia całe moje ramię przebiega dreszcz. Sextus jęczy głucho i się słania.

Entuzjastyczna wrzawa widowni gaśnie natychmiast, zastąpiona odgłosem setek westchnień. Nie zwracam na to uwagi. Przeciwnik odczuł jedynie ułamek rzeczywistej siły mojego rąbnienia, ale miejsce trafienia i impet zrobiły swoje. Jest oszołomiony. Potyka się.

Skaczę na niego, ponownie biję prawą pięścią. Nie udaje mi się dosięgnąć tego samego punktu na szczęce, lecz trafiam w policzek. Nie mam czasu myśleć. Atakuję znowu, ledwie daję radę mnie zablokować. Obraca się w miejscu, odzyskuje równowagę i wyprowadza wściekły cios. Żar zalewa mój bark, lecz panicznej ripoście sextusa brakowało jadu, a ja byłem przygotowany. Poza tym w obecnym stanie ból nie robi już na mnie wrażenia.

Napędza mnie lodowaty gniew; oczyszcza umysł, spowalnia czas, wzmacnia koncentrację. Wykonuję zwód i udaje mi się zbliżyć na tyle, aby grzmotnąć rywala w obojczyk. Raz, drugi.

Przy trzecim uderzeniu czuję, że kość pęka. Przeciwnik charczy. Szeroko otwiera czarne oczy. Przestał rozumieć, co się dzieje. Zaskakuję go ponownie, wymierzając zjadliwy cios kolanem w krocze – nieważne, że Wola osłabia efekt, taki atak zawsze jest skuteczny – po czym cofam się i potężnym hakiem od dołu trzaskam go w podbródek. Sextus zgina się wpół.

Pada na scenę.

Nie przestaję, nie daję mu szansy. Odrącam kopniakiem ramię, którym próbował się osłonić, i skaczę na niego, tłukąc go pięścią po twarzy. Tryska krew, nie moja.

– Chcesz posłuchać o moich rodzicach, sextusie? – wyrzucam z siebie. Prawie nie zdaję sobie sprawy, co mówię. Siadam na nim okrakiem i uderzam ponownie. W to samo miejsce. – Chcesz porozmawiać o mojej rodzinie? – I jeszcze raz. – Chcesz wiedzieć, skąd się wzięły te przeklęte blizny na moich plecach? – cedzę słowa, mam wrażenie, że wypowiada je ktoś inny.

Przeciwnik milczy. Nie stawia już oporu.

Czyjeś ręce mocno chwytają mnie pod pachami, ściągają z powalonego. Szamoczę się do chwili, gdy staje się jasne, że opór jest bezcelowy. Nagle opuszcza mnie gniew, po furii zostaje jedynie ból i wyczerpanie. Dwoi i troi mi się w oczach. Czyżby to ten cios w głowę? Łzy? Krew? Nie mam pojęcia. Sextus leży bez ruchu na kamiennych płytach. Tuż przy jego głowie rozlewa się kałuża czerwieni.

Ellanher coś chyba mówi, lecz słyszę jedynie dziwne brzęczenie. Teraz gdy wściekłość odeszła, zaczynam odczuwać skutki uderzeń. Płaszcz opada mi na ramiona. W tonie Ellanher po-brzmiewa troska maskowana spokojem. Kobieta mówi powoli, jakby zwracała się do małego chłopca. Nadal nie rozumiem ani słowa.

Uwieszony na niej, pozwalam sprowadzić się ze sceny. Nie ma braw, nie słychać wiwatów. W ciemności dokoła rozlega się jedynie zdumiony pomruk.

Odchodząc, parskam gorzkim, zmęczonym śmiechem, gdyż właśnie coś do mnie dotarło. Wygrałem. A to znaczy, że przegrałem zakład.

Dzisiejszej nocy nie zarobię prawie nic.



Jeśli uwięzisz swój gniew w ciemnym lochu, zwykła powiadać moja matka, sprawisz jedynie, że rozkwitnie.

Jako dziecko nigdy tych słów nie rozumiałem. Jakim cudem miałbym rozumieć? Byłem księciem Suus. Wiodłem życie wygodne i bezpieczne, otaczali mnie nauczyciele i krewni. Byłem kochany. Złościłem się jedynie, kiedy zmuszano mnie do przesiadywania na nudnych lekcjach; oburzały mnie wyłącznie wydumane zniewagi i niesprawiedliwość ograniczeń całkowicie rozsądnych, narzucanych mi przez rodziców. Każdy z moich błahych wybuchów gasł równie szybko, jak zapłonął.

Lecz kiedy nastąpiła Hierarchia. Kiedy mi to wszystko odebrali. Kiedy zostałem zmuszony do nieustannego krycia się między nimi. Kiedy musiałem z uśmiechem wdawać się w pogawędkę i pozdrawiać skinieniami ludzi, których słabość pozwoliła Cateńczykom urosnąć w siłę i przejąć władzę. Kiedy – by przetrwać – musiałem tłumić gniew i udawać, że w pełni pojmuję i popieram podawane przez nich wymówki, uzasadniające niewolę moją oraz ich...

Wtedy zrozumiałem.

Choć aż do dzisiejszej nocy sądziłem, że wrota mojego lochu są zbyt solidne, by słowa matki miały dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

To straszne, lecz mimowolnie zastanawiam się, co pomyślałaby o mnie w tej chwili.

Pogardliwe okrzyki tłumu skraplają się i spadają na mnie niczym deszcz. Ponownie stoję samotnie pośrodku zbryzganej krwią sceny. Nie odrywam wzroku od podłogi, nie pozwalam nikomu dostrzec buty płonącej w moich oczach.

Ellanher przed momentem wyjaśniła kibicom, że oszukiwałem. Miałem się przyznać, iż z myślą o dzisiejszej walce kupiłem Wolę septimusa totiusa – septimusa, który nie cedeje na nikogo. Zagrała tą naprędce spreparowaną kartą iście po mistrzowsku; kłamiąc, spoglądała na widownię szczerze przejęta i zażenowana moim postępkami. Złożyła nawet tradycyjne cateńskie trzykrotne przeprosiny, które wedle zwyczaju, jeśli zostaną przyjęte, odbierają obrażonemu prawo do zemsty. Kiedy zaapelowała o wyrozumiałość po raz pierwszy, tłum zareagował posępnym milczeniem. Zdobyła ich jednak przy trzeciej prośbie, przepelnionej niekłamana pasją.

Z pewnością pomogła też decyzja o wygnaniu mnie z miasta oraz obietnica, że zakłady wszystkich gości, którzy obstawili moje zwycięstwo, zostaną uhonorowane, a pozostali otrzymają pełną rekompensatę.

Mimo że wciąż wrze we mnie frustracja, nie mogę przestać myśleć, jak bardzo ta ostatnia decyzja rozjuszy Gaufrida.

Czuję na sobie gniew widzów, zaciskam pięści. Zgrzytam zębami. Przyspiesza mi oddech. Zgodziłem się na tę farsę jedynie ze względu na groźbę Ellanher, że w przeciwnym wypadku czeka mnie coś znacznie gorszego niż kilka sińców i obolałe ramię. A tak możemy się rozstać, jak sama to ujęła, „po przyjacielsku”. Jeżeli dzisiejszej nocy nic nie zaburzy zwykłej tu kolei rzeczy, Hierarchia nie dostanie pretekstu, aby przyjrzeć się sprawie bliżej. A oboje przecież wiemy, że ja nie pisnę władzom nawet słówka.

Wrzawa cichnie stosunkowo szybko. Pomruki oburzenia przechodzą w szmer udobruchanych rozmów. Koniec końców, kibice mieli okazję na własne oczy zobaczyć porażkę sextusa. To

nieistotne, czy doszło do niej za sprawą nieuczciwości rywala. O tym skandalu będzie się mówić jeszcze przez wiele tygodni, a nikt nie stracił złamanej monety. Ostatecznie wszyscy otrzymali porcję wyśmienitej rozrywki.

– Wystarczy, mój chłopcze. – Ellanher czeka na mnie na skraju sceny. Zostawiamy za sobą rozchodzących się widzów, zaprzątniętych już pierwszymi plotkami.

Droga powrotna do jej biura wydaje mi się stanowczo zbyt długa. Wsłuchuję się w echo naszych kroków.

– A wracając do twoich pleców...

– Nie – przerywam ostro. Spodziewałem się tego pytania, odkąd walka dobiegła końca. Widziałem ukradkowe spojrzenia, jakie rzucała na mój grzbiet, gdy opatrywała mnie przed powrotem na scenę.

– Oczywiście, kochanie – odpowiada półgłosem. Chyba dociera do niej, że akurat w tej kwestii nie będzie żadnych negocjacji.

I znów zapada cisza. Przemierzamy puste korytarze teatru. Wreszcie Ellanher wzdycha, raczej z żalem niż gniewem.

– Zawsze możesz wrócić do victorum. Słyszałam, że bardzo tam za tobą tęsknią.

Prycham pod nosem. Ellanher odkryła mnie właśnie, gdy uczestniczyłem w letensjańskiej lidze victorum. To uboższa kuzynka wielkich gladiatorских rozgrywek, jakie odbywają się w Catenie. Uczestnictwo w niej jest dobrowolne, a najważniejsze, nad zawodnikami nie wisi groźba trafienia na Płyty po trzeciej porażce. To wciąż jednak ryzykowna rozgrywka, mimo że posługiwaliśmy się stępionymi ostrzami – a co gorsza, jest stosunkowo bezsensowna. Działalność victorum finansuje Hierarchia. Mój powrót do ligi musiałaby oficjalnie zaaprobować matrona, to zaś oznacza, że nie mógłbym zachować zarobionych pieniędzy.

– Dobry byłeś, mój drogi – podejmuje Ellanher, kiedy stajemy przed jej biurem. Sprawia wrażenie szczerze rozczarowanej moim odejściem. I chyba naprawdę chce mnie pocieszyć. Aczkolwiek nie zapominam, że mam do czynienia ze znakomitą aktorką. – A tam nie zagrozi ci tak silna pokusa zabijania.

– Nie próbowałem go zabić. – Od zakończenia walki nie widziałem rywala na oczy. Jego ranami z pewnością ktoś już się zajął. Złamany, krwawiący nos. Siniaki. Ból głowy. Pozwoliłem ponieść się furii, lecz nie mógł przecież uciec poważnie. Ktoś bez wątplenia przekaże mu, co padło ze sceny, i sextus wyjaśni sobie, że właśnie dlatego przegrał. Tylko oszustwo mogło doprowadzić do jego porażki.

Ellanher otwiera drzwi.

– Jeśli chcesz, możesz poczekać tutaj, dopóki najbardziej rozgorzyczeni widzowie nie rozejdą się do domów.

Chętnie bym odmówił, korci mnie konfrontacja z grupą wzburzonych kibiców, lecz w obecnym stanie nie dam rady jej przetrwać. Wchodzę do środka i opadam na krzesło. Ellanher stoi w korytarzu z ręką na klamce.

– Jeszcze jedno, Vis. Ja tam byłam, kochanie, widziałam minę, z jaką go tłukłeś. – Uśmiecha się smutno i odchodzi. Zostaję sam.

Przez jakiś czas staram się ujarzmić posępną frustrację, która mnie przepełnia. Ramię mocno pulsuje pod opatrunkiem. Fatalna noc.

Po mniej więcej czterdziestu minutach ktoś energicznie puka. Wstrzymuję oddech, zakładam, iż nieznamy szuka Ellanher, nie mnie.

– Vis? Wiem, że tu jesteś.

Gaufrid.

Wpatruję się w drzwi i rozważam, czy wściekł się na tyle, by przyprowadzić ze sobą jakichś osiłków.

Chyba nie?

Lekko uchylam drzwi. Gaufrid, który ruszył już z powrotem w głąb korytarza, słyszy szcęk zamka i się odwraca. Na szarym tle ścian jego zielony strój wygląda jeszcze bardziej jarmarcznie. Nie wyczuwam w nim gniewu, jest przede wszystkim znużony. I przyszedł sam.

– Wejdz. – Otwieram drzwi nieco szerzej. – Ale niedługo stąd znikam.

– Wiem. Nie zajmę ci wiele czasu. – Wchodzi do biura, lecz przystaje tuż za progiem i nie zamyka za sobą.

Kiedy zapraszająco wskazuję mu krzesło, tylko kręci głową. Jest wyraźnie skrępowany. Wsuwa rękę do kieszeni, po czym nagle łapie mnie za przegub i wciska mi w dłoń coś zimnego i ostrego. Cztery srebrne trójkąty.

– Rekompensata za twój zakład – rzuca szorstko.

Kiedy zaskoczony wpatruję się w monety, Gaufrid zbiera się do wyjścia.

– Dlaczego? – pytam zbity z tropu. Jestem mu wdzięczny, lecz odruchowo budzi się też we mnie nieufność. Gaufrid musi rozumieć, że już nigdy się nie spotkamy. A dziś wieczorem stracił przede mną okazałą sumę.

– Dwie minuty i trzydzieści siedem sekund. – Przystaje, błyskając łysiną. Patrzę na niego pytająco. – Dokładnie tyle trwała wasza walka. W dodatku wygrałeś. Zobaczysz, jak octavus pokonuje gołymi rękami sextusa? Piękna rzecz. Cholernie piękna. – Mówi dość cicho. Boi się, że ktoś mógłby podsłuchać, lecz w jego słowach pobrzmiwają prawdziwe emocje. Chciał mi to przekazać. – W dodatku wiem, że nie oszukiwałeś. Nieważne, co gada Ellanher. – Wychodzi i zatrzaskuje drzwi. Żadnego pożegnania. Nie uraczył mnie nawet skinieniem.

Podnoszę głowę nieco wyżej. Uśmiecham się wbrew sobie. Pieniądze pobrzękują mi w dłoni, a po chwili dołączają do swych sióstr, które czekały w kieszeni.

Po półgodzinie dochodzę do wniosku, że mogę już bezpiecznie wyjść. Nienapastowany przez nikogo, wymykam się w poranną ciemność. Wiatr powiewający wieczorem nad Letens ustał, lecz chłód jest na tyle dojmujący, że groźba snu pryska od razu.

Długą chwilę stoję w bezruchu, mimo wszystko dopada mnie melancholia. Ostatnie sześć miesięcy pozwoliło mi zaznać specyficznej odmiany stabilizacji. I ten okres właśnie dobiega końca. Zostało mi do zrobienia jeszcze tylko jedno.



Po kilku godzinach wracam do sierocińca. Na miejsce docieram w momencie, gdy bezchmurne niebo okrywa się intensywnym błękitem. Czuję się już lepiej, choć wciąż jestem obolała. Po drodze zahaczyłem o miejscową bibliotekę i była to owocna wizyta. Skradzioną książkę podróżniczą przypasałem sobie do pleców bandażem.

Tom wypełniają mapy i opisy bezludnego archipelagu, położonego na wschodzie, w odległości trzytygodniowego rejsu stąd. To zły wybór, desperacki. Lecz po dzisiejszej nocy mogą nie mieć nic lepszego.

Otwieram drzwi, wchodzę po cichu. Przed chwilą mocniej zaciągnąłem bandaż, a część zarobionych dzisiaj na scenie pieniędzy schowałem do butów, więc gdy ktoś przy schodach wstaje z krzesła na mój widok, czuję się przygotowany.

– Vis – rzuca matrona Atrox. Jest septimusem i najważniejszą osobą w całym przytułku. Szczupła, drobna, jasne włosy sięgają jej do ramion. Z tego, co słyszałem, przekroczyła już czterdziestkę, choć z powodzeniem mogłaby uchodzić za młodszą. Myślę, że może się wydawać całkiem atrakcyjna. Zwłaszcza tym, którzy nie mieli pecha jej bliżej poznać.

Z teatralną niechęcią wyłuskuję z kieszeni metalowe trójki. Jeden srebrny i pięć miedzianych. Podaję jej.

– To za ciężką pracę, matrono.

Malujący się na jej twarzy uśmiech więdnie, staje się zimny i stalowy. Tę minę znam znacznie lepiej.

– No, tylko uważaj. Pracujesz w więzieniu wyłącznie dlatego, że ci na to pozwalam. A takiemu ładnemu chłopcu jak ty zawsze mogę znaleźć inne zajęcie. – Rozumiem, co ma na myśli. Lubieżny ton nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Puszczam groźbę mimo uszu; podobne rzeczy słyszę od niej na tyle często, by nie robiły na mnie większego wrażenia. W końcu matrona marszczy czoło i zgarnia pieniądze.

– O południowym dzwonie będziesz mi potrzebny. – Przelicza monety. Osobiście podpisała umowę pozwalającą mi pracować w więzieniu. Dokładnie wie, ile powinienem zarobić.

Staram się nie pokazać, jak wiele bólu sprawiły mi jej słowa. Do południa zostało ledwie kilka godzin, a ramię wciąż rwie. Na oko potrzebuję dziś odpoczynku dziesięć razy bardziej niż zwykle.

– Do czego?

– Niedługo przed tobą pojawił się tu posłaniec. W południe odwiedzi nas ktoś gotowy na adopcję. Dzieciaki będą mocno podkscytowane i chcę, żebyś pomógł mi je przygotować.

– Mało czasu. W dodatku to dziwna pora jak na takie wiadomości. – Wyczuwam bijący od matrony Atrox niecodzienny entuzjazm. Zazwyczaj traktuje adopcje jako szczególnego rodzaju dopust.

– Rekomendację dał sam prokonsul Manius. A chętny jest quintusem... – Atrox zawiesza głos i kiwa głową, widząc moją reakcję.

Quintusowie są w Hierarchii ważnymi osobistościami, znacznie wyżej postawionymi niż nasi zwykli goście. Prawdę powiedziawszy, odkąd trafiłem tu półtora roku temu, tylko raz zdarzyło się, że dziecko adoptował sextus.

– Vis, to szalenie ważne, by wszystko potoczyło się gładko.

Stwierdzenie i groźba zarazem. Jeżeli quintus przysposobi jednego z jej podopiecznych, pozycja matrony Atrox znacznie się umocni. Taki sukces może zaowocować zwiększeniem funduszy, jakie przeznacza na jej działalność Religia, a kto wie, może nawet awansem na sextusa. Z drugiej strony, moja obecność w czasie wizyty quintusa postawiłaby ją w niezbyt korzystnym świetle. Prawie siedemnastoletni chłopak, który nadal odmawia wizyty w Aurora Columnae?

Głębokie, nawarstwione blizny na moich plecach dobitnie świadczą o tym, jak wielki to dla niej wstyd.

– Rozumiem. Nie będę rzucać się w oczy.

Mną i tak nikt nie interesował się już od wielu miesięcy, od momentu gdy matrona zarzuciła próby zdobycia mojej Woli i uznała, że lepiej przeznaczyć mnie do innych zajęć. Co sprowadza się do tego, iż za dnia wykonuję za nią większość obowiązków. Od tamtej

pory sprawia wrażenie mniej sfrustrowanej. Nie przeszkadza jej też, że nie zdołała mnie złamać. Wydaje mi się wręcz, że nowy układ przypadł jej do gustu.

– Dobry chłopak. – Wygląda białą spódnice. Nie jestem pewien, o której wstaje, lecz zawsze jest nieskazitelnie ubrana i umalowana. Ze starannie ułożonej fryzury nie wymyka się nawet jeden włos. – Przyślę po ciebie Vermesa. – Nie poświęca mi ani jednego spojrzenia więcej i odchodzi w kierunku kuchni.

Czekam, by zniknęła na dobre. Tak jak przypuszczałem, świeżego otarcia na mojej twarzy nawet nie skomentowała. Atrox żyje w przekonaniu, które często zresztą podsycam umiejętnie wtrącanymi aluzjami, że w więzieniu traktują mnie marnie. Gdyby jednak zauważyła, że mam nie w pełni sprawne ramię, chciałaby wiedzieć, czy jestem w stanie pracować. A w tym konkretnym momencie dokładne oględziny skończyłyby się odkryciem skradzionej książki.

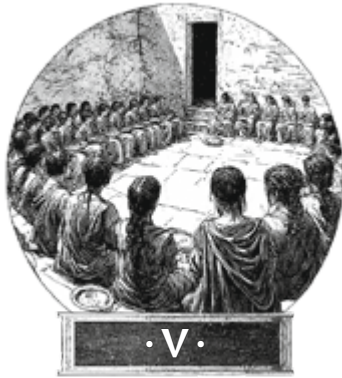
Gdy mam pewność, że matrona nie wróci, wspinam się po schodach do siebie. Czuję ból w każdym mięśniu, kiedy pokonuję długi korytarz i docieram na sam jego koniec, do swojego pokoju. Maleńka klitka. Przestrzeni wystarcza na pojedynczy, rzucony na podłogę materac i niewiele więcej.

Aczkolwiek mam ten pokój wyłącznie dla siebie. Pozostała dwudziestka dzieciaków z sierocińca dysponuje wprawdzie większą przestrzenią, ale za to mieszkają w dwu- lub trzyosobowych salkach. Mnie przeniesiono tutaj, gdy zacząłem pracować poza przytułkiem, abym nie przeszkadzał nikomu swoim odmiennym rytmem dnia. Przystąpiłem na takie rozwiązanie ochoczo. Już na samym początku obluzowałem jeden z paneli w ścianie, za którym znalazłem wnękę pozwalającą mi chować dodatkowe zarobki.

Ukrywam w niej wszystko, co mi zostało z dzisiejszej nocy, po czym zdejmuję bandażę i wsuwam do skrytki książkę. Mam z tym trochę kłopotu, schowek nie jest przesadnie duży, lecz po chwili ostrożnego manewrowania księga wchodzi, a panel wraca na miejsce.

Chociaż czuję się wycieńczony, poświęcam chwilę, by ponownie obwiązać ramię. Staram się uważać, lecz i tak przyplącam te wysiłki sporym bólem. Ellanher opatrywała mnie ze zdecydowanie większą wprawą. Rano nie zdołam już ukryć stanu ręki, więc lepiej, jeśli wymyślę jeszcze jakąś przekonującą historyjkę na użytek matrony Atrox.

Na razie jednak muszę się wyspać.



Wstawaj, Rex, leniu śmierdzący.
Ktoś szarpie moim ramieniem. Zalewa mnie fala bólu. Powarkując, otwieram oczy i spoglądam prosto w rozpromienioną twarz zadowolonego z siebie piętnastolatka. Pochyliła się nisko nade mną.

– Vermes – wypowiadał jego imię tonem przekleństwa. Z rozmysłem. – Już nie śpię.

– A wyglądasz, jakbyś spał. – Blondwłosego chłopaka trąca mnie butem, a kiedy zirytowany podrywam się i siadam, zwinnie odskakuje do tyłu.

Jak na swój wiek Vermes jest wysoki – choć niższy ode mnie – a jego masywne ciało składa się przede wszystkim z mięśni. Dobrze jednak rozumie, że w przytułku mam zbyt niepewną pozycję, abym mógł zareagować gwałtownie.

– Matrona mówi, że dziś może być adopcja, więc musisz wszystkich przygotować.

Przymykam powieki. Złość we mnie nieco przygasa, gdy przypominam sobie poranną rozmowę z Atrox. Okno wychodzące na północ jest już odsłonięte, ukośne promienie słońca muskają mi stopy.

– Która jest?

– Dzwon bił dziesięć minut temu.

Rozcieram ramię. Przez noc zeszywniało, ale ból zelżał.

– Już nie śpię – powtarzam z większym przekonaniem. Wcale nie czuję się wypoczęty, lecz wiem, że dam radę funkcjonować. – Powiedz jej, że zaraz zejść.

– Sam jej powiedz. Chcę się wyszykować. – Vermes wychodzi, nie dając mi czasu na odpowiedź.

Podnoszę się. Idę do łazienki, gdzie spryskuję twarz wodą, a następnie staję przed lustrem i wyglądam coraz dłuższe brązowe włosy. Zanim trafiłem do sierocińca, goliłem głowę na akwiryjską modłę. Starałem się w ten sposób dostosować wygląd do swojej fikcyjnej przeszłości, lecz w przytułku brzytwę może mieć jedynie matrona Atrox. A w życiu nie pozwolę tej kobiecie dotknąć swoich włosów.

Zresztą, co za różnica. Mimo że gęste, faliste pasma szybko odrastają, i tak z trudem rozpoznaję widniejące pod nimi harde, puste oblicze.

Schodzę i w pierwszej kolejności zaglądam do kuchni w poszukiwaniu resztek z wczorajszej kolacji. Kiedy odrywam kawałek po kawałku z nadjedzonego bochna, dolatuje mnie podekscytowana paplanina dziewcząt z sąsiedniej sali. Szansa na adopcję zawsze wywołuje mnóstwo emocji – większości ludzi trudno jest zdobyć oficjalną rekomendację – lecz dzisiaj nawet powietrze ma smak wyczekiwania. Quintus. Jeżeli do któregoś z podopiecznych przytułku uśmiechnie się szczęście i zostanie wybrany przez niespodziewanego gościa, czeka go życie przyjemne i wygodne.

Po śniadaniu kieruję się do głównej sali – to największe pomieszczenie budynku. Bawi się w nim już sporo młodszych dzieciaków. Po drodze zauważa mnie kilkoro starszych, natychmiast ruszają za mną. Wiedzą, po co przychodzę.

Każę im rozpowiedzieć po sierocińcu, że czas się szykować. Wykonują polecenie, choć wyzywają mnie od „rexów” – „królów”. W całej Republice to słowo uważane jest za obelgę, a tutejsze sieroty drwią z mojej niechęci do stawienia się w Aurora Columnae i rzekomej władzy, jaką posiadam w przytułku.

Puszczam przezwisko mimo uszu. Jest aż nazbyt bliskie prawdy, ale to tylko dzieci, nie chcę się na nie zbyt mocno złościć. Tylko bym pogorszył sprawę. Zresztą tych maluchów nie sposób do niczego przekonać ani uprzejmym słowem, ani racjonalnym argumentem. Dlatego najczęściej po prostu traktuję przydomek jak wyraz szacunku. Dowód, że jako jeden z niewielu zdołałem wytrwać.

Nie zawsze to działa.

Wkrótce w sali zbierają się wszyscy mieszkańcy sierocińca. Otaczają nas nagie kamienne ściany. Wnętrze jest sterylne, zupełnie pozbawione charakteru. Większość sierot rozsiadła się pośrodku przy długich stołach. Bez trudu rozpoznaję dzieci, które cedują akurat na matronę Atrox. Są ciche i mniej entuzjastyczne. Lekko pobladłe. Szczególnie te młodsze czekają z pustym wzrokiem, z rzadka tylko mrugając. Na szczęście dzisiaj choć przez moment zaznają ulgi, kiedy matrona zwróci im Wolę, aby mogły ją scedować w czasie rozmowy na przybyśza zainteresowanego adopcją.

Ponad połowa tutejszych dzieciaków jest pomiędzy siódmym a dziesiątym rokiem życia. Nie licząc mnie, najstarszy w przytułku to piętnastoletni Vermes. Zaraz potem są czternastoletni Brixia i Jejun oraz pięcioosobowa, mocno ze sobą zżyta grupka dwunastoletków. Obecność najstarszych podopiecznych zazwyczaj oznacza dla mnie wzmożony atak złośliwych uśmieszków, docinków i gorączkowych szeptów, lecz dzisiaj ograniczają się do minimum. Wszyscy skupiają się na przygotowaniach.

– Nie wiem, po co tak się trudzisz – rzuca ze śmiechem Vermes, kiedy ustawiam dzieciaki w szeregu, zaczynam poprawiać im fryzury i wygładzać ubrania. – Quintus i tak wybierze tego, który będzie na niego cedować najwięcej Woli, a tak się składa, że tym kimś jestem ja.

– Miejmy więc nadzieję, że nie zwraca uwagi na osobowość – mruzcę, nie przerywając pracy.

Rozlegają się śmiechy, lecz Vermes toczy wokół surowym wzrokiem i wesołość gaśnie.

– Rex, ty akurat nie musisz się zastanawiać, na co zwraca uwagę.

Jestem głęboko przekonany, że kiedy nie ma mnie w pobliżu, Vermes bije inne sieroty. Żałuję, że nie szukają we mnie wsparcia. Mógłbym im pomóc, ale ponieważ jestem w przytułku pariasem, nie darzą mnie zaufaniem.

Zanim zdążyłem wymyślić odpowiedź, w sali pojawia się matrona Atrox. Wchodzi i obrzuca podopiecznych błogim uśmiechem. Niemal wszyscy odpowiadają równie promiennymi minami, nawet Vermes. Uwielbiają ją. Ostatecznie za co mieliby jej nie lubić? Podchodzi do nich z szacunkiem i cierpliwością. Karmi ich, ubiera. Dzięki niej wciąż mają nadzieję na znalezienie rodziny. A w zamian muszą jedynie na nią cedować. Na nią i z rzadka na innych ludzi przez dzień czy dwa.

Nieraz już zastanawiałem się, czy nie wyjawić im prawdy. Większość z tych nieznanym nie myśli wcale o adopcji, to najczęściej octavusowie, którzy tak desperacko pragną wzmocnić swe ciała, że gotowi są kupić Wolę od matrony za niemałą przecież kwotę. Gdyby jakieś dziecko odważyło się odmówić cedowania, Atrox pobiłaby je niemal na śmierć. Trzymam jednak język za zębami. Nawet gdybym jakimś cudem zdołał przekonać dzieciaki, nie jestem pewien, czy ktokolwiek by na tym skorzystał.

– Moi drodzy, dziewczęta i chłopcy! Cudownie dziś wyglądacie! – zachwyca się matrona. Ledwie zauważalnym skinieniem daje mi znać, że przygotowałem podopiecznych zgodnie z jej oczekiwaniami. – Cieszą się?

Odpowiada jej chór głośnych okrzyków. Wszystkie stanowią wariacje na temat entuzjastycznego „tak”.

– Cóż, nie będziecie musieli już dłużej czekać. Nasz gość właśnie przybył! – Atrox posyła mi kolejne znaczące spojrzenie.

Domyślam się, w czym rzecz, i wychodzę.

Na dzisiaj mam zaplanowaną głównie pracę w ogrodzie, lecz rozmowy quintusa z sierotami mogą potrwać całe popołudnie, więc opuszczam salę przez kuchnię. Przewrotna spizarnia

przytułku zawsze jest świetnie zaopatrzona, więc poświęcam okrągłą minutę, żeby przejrzeć jej zawartość.

Niebawem z sali dolatują pierwsze, stłumione okrzyki. Młode, podekscytowane głosy witają przybysza. Zamieram, tuląc do piersi jabłko i dwa paszteciki. Daleko mi do ich entuzjazmu, ale ja także nigdy jeszcze nie widziałem z bliska żadnego quintusa.

Odkładam jedzenie na stół i leciutko uchylam drzwi prowadzące na salę.

Wszyscy otaczają gościa ciasnym kręgiem, przez co nie mogę się porządnie przyjrzeć. Wyciągam szyję, stoję na palcach.

I nagle drętwieję.

Zobaczyłem go tylko przelotnie – przebłysk twarzy między głowami dzieciaków – lecz jestem pewien.

To ten sam człowiek, który odwiedził wczoraj wieczorem więzienie. Hospius.

Najciszej jak potrafię zamykam drzwi i wybiegam na zewnątrz. Na śmierć zapominam o jedzeniu. Co on tu robi? To nie może być przypadek. Musiał jednak zobaczyć, że dotknąłem Płyty. Na pewno o to chodzi.

Oddech odzyskuję dopiero, kiedy czuję na twarzy ciepłe słońce i mogę ukryć się wśród zieleni rozległych ogrodów przytułku. Nikt nie zauważył, że uciekłem. Czuję w duchu niepokój, ale potrafię skutecznie bronić się przed paniką. Nauczyły mnie tego lata życia w kłamstwie i liczne ryzykowne sytuacje. Dzisiejsza nie jest wcale nowością. Muszę zachować spokój. Dokładnie wszystko przemyśleć. Pośpiech na nic się nie zda, mógłby mi wręcz zaszkodzić.

Przypominam sobie wczorajszą rozmowę z Hospiusiem, odtwarzam ją w pamięci słowo po słowie. Tak, powiedziałem mu, że jestem sierotą, lecz w Letens jest przynajmniej kilkanaście przytułków. Czy mógł posłać swych ludzi z wiadomością do wszystkich, a mój to po prostu pierwszy lub drugi przystanek na liście? Całkiem prawdopodobne. Z pewnością stara się działać subtelnie. W przeciwnym wypadku wszedłby po prostu z ulicy i zapytał o mnie wprost, zna moje imię. A matrona Atrox zosta-

ła uprzedzona, że on tu się dziś pojawi, jeszcze zanim wróciłem do sierocińca. A zatem Hospius nie śledził mnie spod więzienia.

Matrona nie wspomni o mnie nawet słowem. Wątpliwe, żeby moje imię padło z ust któregoś z maluchów.

Jeżeli nie ruszę się z ogrodu, spokojnie przeczekam wizytę gościa. I Hospius po prostu odejdzie.

Zabieram się do pracy. Przycinam krzewy, pielę grządki, ale ciągle się podrywam nawet na najcichszy dźwięk dochodzący od strony budynku. Ogrodnictwo podobno sprzyja ukojeniu ducha, lecz – prawdę mówiąc – niewiele udaje mi się zrobić. Im bardziej się zastanawiam, tym dziwniejsza wydaje mi się cała ta sytuacja. Hospius przyniósł do więzienia dokumenty, które wyraźnie potwierdzały jego status sextusa. Czy w przytułku pojawił się jako przedstawiciel quintusa, czy po prostu się pod niego podszywa? A może to wczorajszego wieczora udawał? Co więcej, skoro zobaczył, że dotknąłem Płyty, dlaczego nie zatrzymał mnie od razu? Dlaczego spokojnie odszedł, a szuka mnie dopiero teraz?

Coś jest nie tak, lecz nie mam pojęcia co. Zaczynam się denerwować.

I niepokoję się jeszcze bardziej, kiedy pół godziny później słyszę trzask gałązki łamiącej się pod podeszwą buta.

– Wołają cię, Rex. – To Brixia. Jest zziajana. Widocznie szuka mnie od jakiegoś czasu.

– Po co?

– Nie wiem. – Dziewczynka przygląda mi się niechętnie, świ-druje mnie błyszczącymi oczyma, zbyt małymi jak na jej pucolowatą twarz. – Ale matrona nie była zadowolona.

Myślę. Gdybym uciekł teraz, w tej chwili, gdybym po cichu i błyskawicznie obezwładnił Brixię, zabrał wszystko ze skrytki w pokoju i zbiegł, zanim ktoś zauważy naszą nieobecność, wtedy musiałbym się zmierzyć ze wszystkimi przeszkodami, przez które wcześniej nie zdecydowałem się na ucieczkę. Moje nazwisko figuruje w urzędowych spisach Hierarchii; to cena, jaką musiałem zapłacić za miejsce w przytułku, gdy półtora roku temu już ledwo żyłem z głodu. Znają mój wiek i rysopis. Nawet biorąc

pod uwagę, że dwie trzecie tych rzekomych prawd to czysty wymysł, istotny jest sam fakt, że na tę listę trafiłem.

Dlatego gdy tylko spróbuję wyrwać się z obecnego miejsca, które jest w oficjalnym systemie, zostaną wyjęty spod prawa. Natychmiast podadzą do publicznej wiadomości, że każdy, kto mnie pojma i doprowadzi przed oblicze sprawiedliwości, otrzyma nagrodę. Tego rodzaju wieści Hierarchia rozpowszechnia z zatrzważającą wręcz skutecznością. Zanim więc minie dzień, już nigdzie nie znajdę bezpiecznego schronienia.

A jeśli matrona Atrox nie będzie mogła dłużej czerpać ze mnie wymiernych zysków i wyjawi, że odmówiłem cedowania Woli? Albo gorzej, jeżeli Hospius powie, co zobaczył? Wtedy nagroda za moją głowę wzrośnie i, w razie wpadki, zostaną uwięzieni do osiemnastego roku życia. Skażą mnie na Płyty, o ile się nie ugnę i nie zechcę odwiedzić Aurora Columnae.

Zaciskam pięści, lecz zaraz je rozluźniam. Nie jestem gotów. Nie mam dostatecznej ilości pieniędzy, wciąż nie obmyśliłem żadnego sensownego planu, nie wiem, dokąd się udać.

– Dobrze.

Wracamy do budynku. Brixia idzie wyraźnie nachmurzona. Kiedy wchodzimy do sali, stłumiony gwar zdziwionych rozmów cichnie, a mnie przeszywają zagniewane spojrzenia. Wszyscy sądzą, że w jakiś sposób działałam przeciwko nim.

Matrona Atrox odrywa się od Lacrima, jednego z młodszych chłopców, którego właśnie pocieszała po najwyraźniej niezbyt udanej rozmowie. Staje prosto i spogląda na mnie.

– Vis... – Podchodzi. Nachyla się, by nie usłyszał jej nikt inny. – Nie wiem, jak zdołałeś zwrócić na siebie uwagę tego człowieka, ale przysięgam, jeśli przez ciebie coś złego spotka dzieci lub mnie, nie pozostawię tego bez konsekwencji.

Z największym trudem powstrzymuję wybuch śmiechu. Podobnie jak wszyscy pozostali, matrona jest przekonana, że właśnie na tym mi zależy.

Prowadzi mnie między złowrogimi spojrzeniami sierot do drzwi biblioteki. Odchrząkuje, po czym puka.

– Znalazłam go, quintusie. Wygląda na to, że doszedł już do siebie. – Wbija we mnie wymowne spojrzenie. Odgaduję, że moją nieobecność usprawiedliwiła zmyśloną chorobą.

– Zapraszam.

Oczy Atrox świdrują mnie raz jeszcze. Otwiera szerzej drzwi i praktycznie wpycha mnie do środka.

Biblioteka sierocińca jest niewiele większa od przestronnego pokoju. Wytarte kanapy stoją pod dwoma długimi oknami, przez które widać jedynie szarą kamienną ścianę sąsiedniego budynku. Pomieszczenie wypełnione jest regałami, uginającymi się pod ciężarem książek dostarczonych przez Hierarchię.

Hospius – czy jakkolwiek brzmi jego prawdziwe imię – siedzi wygodnie rozparty na krześle za masywnym stołem, który zajmuje niemal cały środek salki.

– Vis. – Wskazuje mi miejsce naprzeciwko siebie.

– Sextusie. – Siadam. Opieram się pokusie, by dodać coś więcej, ale ryzykowałbym, że wypełnię ciszę wiadomościami, których może jeszcze nie posiadać.

– Quintusie – poprawia mnie. – W rzeczywistości nazywam się quintus Ulciscor Telimus. I... przepraszam cię za wczorajszy wieczór. Ta maskarada była konieczna i w pełni zaakceptowana przez Armię. – Ulciscor, zakładałam chwilowo, że nie jest to jeszcze jedno fikcyjne imię, bawi się rękawem koszuli. – Nie wydajesz się zaskoczony.

– Widziałem, jak wchodziłeś. – Rozważam w duchu usłyszaną przed chwilą słowa. Skoro faktycznie do więzienia przysłała go Armia, to wyjaśnia jakość jego podrobionych dokumentów. Co zarazem oznacza, że nie mam nad nim żadnej przewagi.

– Hmm. – Nawet teraz, gdy siedzi, quintus wygląda imponująco. Obserwuje mnie uważnie, przeciąga dłonią po zarośniętym czarną szczecinę policzku. Chyba miał nadzieję, iż początek rozmowy przebiegnie inaczej. – I nie uznałeś za stosowne wspomnieć matronie, że już się widzieliśmy? Że przy naszym pierwszym spotkaniu posługiwałem się innym nazwiskiem?

– Nie widziałem w tym większego sensu.

– Dlatego że i tak by nie uwierzyła?

– Dlatego że gdybyś nie był pewny, że uda ci się ukryć prawdę, po prostu byś tu nie przyszedł.

Ku mojemu zaskoczeniu Ulciscor kiwa głową, wydaje się niemal zadowolony. Czeka, bym zapytał, co tu robi. Kiedy wciąż milczę, przesuwa spojrzeniem po otaczających nas książkach.

– Ile z tych tomów przeczytałeś?

Nie odpowiadam od razu, jestem lekko zdziwiony nagłą zmianą tematu.

– Kilka. – Spora część tutejszego księgozbioru nie przedstawia dla mnie żadnej wartości. Dostępne w przytułku lektury skierowane są przede wszystkim do młodszych dzieci lub czytelników, którzy nie odebrali w młodości równie gruntownego wykształcenia jak ja. Pozostałe natomiast znam praktycznie na pamięć, przyswoiłem je podczas pierwszych miesięcy pobytu w sierocińcu.

– Domyślam się, że miejska biblioteka posiada znacznie więcej tytułów.

Jego słowa przeszywają mnie na wskroś. Wygłosił uwagę bardzo swobodnym tonem, lecz jego brązowe oczy wciąż czujnie wychwytyują każdy mój nerwowy grymas i ruch.

– Bez porównania. Matrona Atrox posyłała mnie tam czasem, odkąd zrozumiała, że na książki z sierocińca jestem już za duży. – Może nie wybrnąłem perfekcyjnie, ale poradziłem sobie.

– Posyłała?

– Kiedy dorosłem, uznała, że lepiej spożytkuję czas gdzie indziej.

Nastąpiło to wtedy, gdy tylko uświadomiła sobie, iż nie mam szans na adopcję. Właśnie dlatego po każdej walce część wygranej poświęcałem na łapówki dla nocnych stróżów biblioteki, którzy otwierali mi drzwi. Uczyłem się wszystkiego, czego tylko mogłem, wykorzystując kilka ostatnich godzin przed powrotem do przytułku. Początkowo myślałem, że w książkach odkryję sposób na uniknięcie cedowania; że może, na przykład, dowiem się o istnieniu jakiejś odległej cateńskiej prowincji, gdzie ten wymóg

nie istnieje. Albo że znajdę jakiś mało znany kruczek prawny. Historyczny precedens. Cokolwiek. A kiedy okazało się już, że wszystkie teksty podsuwają jedynie kiepskie rozwiązania, takie jak ucieczka na archipelag, o którym przeczytałem w książce podróżniczej, wciąż odwiedzałem bibliotekę, ponieważ wiedza zawsze w końcu okazuje się przydatna. Studiując księgi, dowiadywałem się o Woli i regułach działania cateńskiego społeczeństwa znacznie więcej niż dzięki czystej obserwacji. Wiedza podsuwa mi liczne metody na pozostanie w ukryciu i daje lepszą szansę na przetrwanie.

Robiłem to też dlatego, że gdy przesiadywałem w bibliotece, pogrążony w starych tomach... Przypominało mi to Suus. Moje prywatne lekcje, tak dawniej znienawidzone. Coś, przed czym zawsze się wzdragałem i czego unikałem jak ognia. Miałem wrażenie, że na te kilka nocnych godzin odzyskuję skrawek wcześniejszego życia. Teraz, rzecz jasna, pozbawiony źródła dodatkowego zarobku, straciłem także to.

Czuję narastające napięcie. Podejrzewam, że o to właśnie chodzi Ulciscorowi. Te wszystkie pytania, zaczepki. Stara się wyprowadzić mnie z równowagi. Sądzę, że w jakiś sposób się dowiedział lub przynajmniej ma podejrzenia, gdzie spędziłem wczorajszą noc.

Zwieszam ramiona, wyczuwam drżenie w swoim głosie.

– A poza tym... zakradałem się tam. Czasami. O późnej porze. Wiesz o tym, prawda? To jasne. Przepraszam... Chodzi o to, że... inaczej nie mógłbym się z nią widywać.

– Z kim? – Quintus po raz pierwszy od początku rozmowy wydaje się szczerze zaskoczony.

– Nie zdradzę imienia. – Wkładałem w te słowa nieco buty. Zakochany chłopak nie chce robić kłopotu wybrance. Obmyśliłem tę zagrywkę na użytek matrony Atrox, lecz teraz sprawdza się równie dobrze. – Jeżeli musisz mnie za to ukarać, rozumiem. Ale nie wydam jej.

Bajeczka brzmi całkiem przyzwoicie. Pasuje do moich pozostałych lekkomyślnych zachowań, zapewnia wiarygodną motywację

do większości podejmowanych przeze mnie działań. W razie potrzeby mógłbym nawet uzasadnić nią swój opór przed cedowaniem Woli.

Ulciscor ponownie poprawia rękaw; najwyraźniej to jego nawyk, towarzyszący rozmyślaniu. Wpatruję się w stół, staram się wyglądać naraz na zdeterminowanego i bezbronniego. Tuż po ucieczce z Suus byłem fatalnym aktorem. Obecnie jestem w tym dużo, dużo lepszy. Po niemożliwie dłużącej się chwili dolatuje mnie nad stołem westchnienie zawodu.

– Nic ci nie grozi, Vis.

Przywołuję na twarz wyraz nadziei, podnoszę wzrok. Zniechęcony Ulciscor macha ręką.

– Wygląda na to, że jednak się pomyliłem. Możesz iść.

Wciąż chcę się dowiedzieć, skąd wie o bibliotece, lecz nie mogę przecież zapytać. Dziękuję mu z dokładną taką nerwową wylewnością, jakiej zapewne się po mnie spodziewa, po czym ruszam energicznie do drzwi.

– Jeszcze krok, a cię zabiję – rzuca za mną quintus. Cicho i wyraźnie. Po vetuzjańsku.

Zwykle reaguję błyskawicznie, lecz kiedy ktoś grozi mi śmiercią w języku, którego nie powinienem rozumieć, moje ciało i umysł zaczynają ze sobą walczyć.

Wzdrygam się. Potykam. Zatrzymuję.

Wiem, że właśnie się zdradziłem, lecz i tak próbuję się ocalić.

– To w tym języku rozmawiałeś wczoraj z więźniem? – Wciąż stoję przodem do wyjścia.

– Wracaj, Vis. Wracaj i siadaj. – To już nie jest zwykła sugestia.

Tkwią jak sparaliżowany. O ucieczce nie ma mowy, przed quintusem nie ucieknę. Bić się z nim też nie mogę. Z wysiłkiem nabieram powietrza.

– Mam pieniądze.

– Nie jestem zainteresowany.

Mało zaskakujące. Fala paniki opada na tyle, że odzyskuję kontrolę nad ciałem. Odwracam się i widzę uważne spojrzenie

Ulciscora. Nie ma w nim gniewu, nie patrzy surowo. Jest po prostu głęboko zamyślony.

Jednak dostrzegam w jego oczach charakterystyczną, ustępującą właśnie czerń.

Z powrotem zajmuję miejsce na krześle, próbuję opanować drżenie.

– Opowiedziałeś mi całkiem wiarygodną, choć niemożliwą do potwierdzenia historyjkę. Każdy, kto ma w sobie choć odrobinę romantyzmu, byłby gotów się z tobą utożsamić i potraktować cię pobłażliwie. I ja też bym uwierzył, gdyby nie fakt, że wczorajszej nocy zrozumiałeś naszą rozmowę.

Niestety nie mogę docenić tego komplementu.

– Skąd wiesz?

– Wyraz twarzy. Człowiek wygląda inaczej, kiedy rozumie, a inaczej, gdy tylko słyszy. To widać po oczach. – Ulciscor wzrusza ramionami. – Jeśli cię to pocieszy, zauważyłem to właściwie w ostatniej chwili.

Nie pocieszyło.

– Prawdę mówiąc, usłyszałem wczoraj bardzo niewiele. A rozumiałem jeszcze mniej.

– To i tak za dużo. – W łagodnym uśmiechu quintusa majaczy zawołowana groźba. – Ale myślę, że możemy tę sytuację rozwiązać w taki sposób, który zadowoli nas obu. Zaczniemy więc od początku. Tym razem bez kłamstw.

– Zgoda – kłamię.

– Znakomicie. Po pierwsze: Płyty. Widziałem, że jednej dotknąłeś. Nie próbuj zaprzeczać – przestrzega Ulciscor, uprzedzając moje ewentualne protesty. – Czy wiesz, dlaczego nic ci się nie stało?

– Nie – odpowiadam krótko. Mężczyzna po drugiej stronie stołu jest zbyt pewny swego, żebym próbował uników.

Ulciscor kiwa głową, wyraźnie zadowolony z mojej szczerości.

– Cóż, mam pewną hipotezę. Najpierw jednak będziesz musiał scedować na mnie trochę Woli. Wystarczy naprawdę niewielka dawka.

Nagle czuję w piersi znajomy ucisk. Identyczna prośba pojawia się w trakcie niemal każdej rozmowy adopcyjnej. Cedowanie stanowi najłatwiejszy sposób na ocenę siły Woli. Właśnie w tym punkcie kończyły się wszystkie moje wcześniejsze spotkania. Po odmowie najczęściej następował wybuch gniewu. Były krzyki. Kary.

– Nie.

Ulciscorowi nie drga nawet powieka.

– To zajmie jedynie minutę. Ale jeśli mamy rozwiązać nasz drobny problem, nie widzę innego wyjścia.

– Nie – powtarzam zdecydowanie. Dawniej uciekałem się do wykrętów, przeprosin i wymówek. Zupełnie jakbym zrobił coś naprawdę złego. To jedynie pogarszało sytuację.

– Vis – Ulciscor nachyla się nad białym – pozwól, że udowodnię swoją teorię, a zapomnę o wczorajszej nocy na zawsze. Dam ci też tyle pieniędzy, ile tylko potrzebujesz. Zabiorę cię z sierocińca i zadbam, abyś zdobył dowolne stanowisko, jakie sobie wymarzysz. Jedno moje słowo, a zaczniesz nowe życie w randze sextusa, w dowolnym zawodzie. Jeśli chcesz, zagwarantuję to wszystko na piśmie. W dokumencie zapieczętowanym moją własną Wolą. Wystarczy, że na minutę na mnie scedujesz.

Nigdy nie usłyszałem hojniejszej propozycji. Niestety dla Ulciscora, równie swobodnie potrafię odrzucić marchewkę, jak odtrącić kij.

– Dziękuję, quintusie, to bardzo wspinałomyślne, lecz moja odpowiedź pozostaje bez zmian. Teraz i w przyszłości. – Starannie pilnuję, żeby nie pokazać po sobie nawet iskry gniewu, który pali mi trzewia niczym rozgrzany do czerwoności kawał metalu. Granica jest jasno wytyczona: po jednej stronie stoję ja, po drugiej ludzie, którzy zabili moją rodzinę. Sama myśl o przekroczeniu tej linii przepełnia mnie odrazą. Nie czuję nawet pokusy.

Kąciaki warg Ulciscora wędrują lekko ku górze.

Moje ponure zacięcie słabnie nieco, gdy patrzę quintusowi głęboko w oczy, zbyt zaskoczony, aby zareagować inaczej. Zanawiam się, czy na pewno właściwie odczytałem jego minę. Naprawdę sprawia wrażenie zadowolonego.

– Nie poddałeś się obrzędowi w Aurora Columnae – stwierdza z uśmiechem.

Jeszcze przez chwilę wpatruję się w niego oszołomiony, po czym wypuszczam wstrzymywane powietrze. Już rozumiem. Oczywiście. Zanim dozwolono mi do utrzymania defensywnej postawy, dopiero teraz to sobie uświadamiam, ta absurdalna rozmowa zabiła mnie z tropu.

– Myślisz, że właśnie dlatego Płyta na mnie nie zadziałała. – To również moja hipoteza. Od wszystkich pozostałych obywateli Hierarchii różni mnie tylko to jedno. Przeczuję jednak, że swojego wniosku Ulciscor nie opiera wyłącznie na czystych domysłach.

– Usłyszałem o tym po raz pierwszy wiele lat temu. Wtedy była to czysta spekulacja. Powiedział mi... – Zawiesza głos. Przez jego twarz przemyka cień melancholii. – I przypomniałem sobie o tym dopiero wczorajszej nocy.

– Przyszedłeś tutaj, aby mnie uciszyć. – Nawet nie próbuję kryć goryczy. Potencjalna odporność na działanie Płyt, nawet jeśli niepełna, jest czymś, co Hierarchia z pewnością chciała by ukryć.

– Między innymi. – Quintus wpatruje się we mnie jak w trudną do rozwiązania zagadkę. – Dlaczego nie chcesz cedować?

– Miałbym chodzić wiecznie wyczerpany, jak te wszystkie dzieciaki na sali? Zostać octavusem i skrócić sobie życie o... ile to? Dziesięć, piętnaście lat?

Ostatni argument Ulciscor puszcza mimo uszu, mimo że jest to fakt, którego Hierarchia nie chce oficjalnie potwierdzić.

– Nie pytam o cedowanie na matronę ani o to, czy masz ochotę stać się częścią bezdusznej piramidy. W tych przypadkach akurat pojmuję niechęć. Ale żeby w ogóle nie poddać się obrzędowi? Domyślam się, że przynajmniej przyprowadzono cię kiedyś do jednej z Aurora Columnae. – Zawiesza głos i patrzy na mnie pytająco. Potwierdzam skinieniem i posępną miną. – Cedowanie z pewnością by ci się opłaciło. Choćby dlatego, że miałbyś większą szansę w czasie rozmów z chętnymi do adopcji.

- Nie mogą mnie zmusić.
- Rozumiem, że ktoś już próbował. – Mimowolnie kieruje wzrok na moje ramię.

Odgadł, skąd się wzięły blizny. A to znaczy, że widział również wczorajszą walkę, a przynajmniej ktoś mu ją zrelacjonował. Domyślałem się tego; dziwne byłoby, gdyby wiedział o bibliotece, a o teatrze nie miał pojęcia. Tak czy inaczej czuję się osaczony jak zwierzę.

– Widocznie za słabo się starał. – Daję quintusowi do zrozumienia, że zauważyłem jego spojrzenie i nie mam wątpliwości, co oznacza. – Dlaczego cię to w ogóle obchodzi?

– Bo w takiej sytuacji moja propozycja powinna być dla ciebie szczególnie interesująca. Jestem w stanie zagwarantować, że przynajmniej przez najbliższy rok nie zostaniesz poproszony o cedowanie. A potem możesz nawet zyskać okazję, aby udać się do miejsca, gdzie nie ma obowiązku cedowania.

- Takie miejsca nie istnieją.

Ulciscor wyjmuję spod stołu jakiś tom. Dopiero po chwili rozpoznaję, że to książka podręcznicza. Ta sama, którą wykradłem ubiegłej nocy; ta, która powinna w tej chwili spoczywać bezpiecznie w mojej skrytce.

- Skąd...?

– Odwiedziłem twój pokój, kiedy poszedłem skorzystać z łazienki. Nie martw się, nikt tego nie widział. A inne skarby zostały na miejscu.

- Jak znalazłeś skrytkę? – Krzywię się.

– Na rozwiązanie tej zagadki dam ci czas do końca naszej rozmowy. Ale, ale... – Quintus kiwa palcem. – Odbiegamy od tematu. Mogę ci pomóc. A ty, być może, potrafisz pomóc mnie. I to jest ważne.

Wpatruję się w książkę. Ulciscor nie powiedział tego wprost, lecz odsłonił się na tyle, że wśród obietnic wyczuwam również ostrzeżenie. Właśnie w ten sposób działa Hierarchia; kuszą ludzi nagrodami i zarazem sugerują ewentualną karę. Najczęściej tylko jedna z tych dwóch opcji okazuje się prawdziwa.

– No dobrze, słucham więc – wypowiadam te słowa z nieco fatalistycznym westchnieniem. Decyzja zapadła. Nadal nie wiem, o co tu chodzi, lecz skoro jeszcze rozmawiamy, mam coś, na czym mu zależy. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia. A bogowie świadkami, jeżeli słowa quintusa są choć w połowie prawdziwe, takiej okazji po prostu nie mogę przepuścić.

Ulciscor rozciąga usta w szerokim uśmiechu.

Zaczynają się pytania.

Początkowo rozmowa toczy się powoli. Jest nudna, zupełnie jakbyśmy dyskutowali w całkiem innym kontekście. Quintus wypytuje o podstawy mojej edukacji, o rzeczy, które można bez trudu wyczytać w otaczających nas książkach. Ciekawi go, jak dobrze rozumiem Hierarchię, jej strukturę, prawa i tradycje. Zahacza o geografię, pyta, które rejony świata są pełnoprawnymi prowincjami Republiki, a które mają po prostu status „zaprzyjawnionych”. Pyta też o dzieje samego Catenu, które relacjonuję w wersji oficjalnej, przedstawianej przez historyków Hierarchii. Poza pewnymi szczegółami tego ostatniego tematu znam odpowiedzi na wszystkie pytania Ulciscora. Znałem je, zanim jeszcze opuściłem Suus.

Potem jednak tematyka rozmowy ulega zmianie. Zaczynamy rozważać ekonomiczne skutki rozprzestrzenienia się Hierarchii na inne systemy rządów. Roztrząsamy filozoficzne aspekty moralności Woli, jej gromadzenia i stosowania. Matematykę jej dystrybucji i tego, jak Wola wspiera nadzór i kontrolę społeczną. Zastanawiamy się nawet, czy Wola mogła się przyczynić do Katakliizmu przed trzystu laty lub wręcz go spowodować. W pierwszej chwili mocno mnie to zaskakuje. Pewne pytania wymagają, abym sięgał pamięcią do mało popularnych książek, które czytałem bardzo dawno temu. Na inne po prostu nie znam odpowiedzi. Wiedzę na wiele tematów posiadam wyłącznie dlatego, że zagłębiałem do biblioteki. Niemal wszystkie wymagają ode mnie nie tylko zwykłego odtworzenia faktów, lecz głębokiego namysłu. Od czasu do czasu Ulciscor przedstawia własne kontrargumenty, zdarza się, że moje wyjaśnienia go rozczarowują. Z czasem,

ku jego zadowoleniu, angażuję się bardziej. Rozmowa zaczyna przypominać dysputy, jakie wiodłem z Iniguezem, swoim ulubionym nauczycielem. Pomarszczony staruszek o niesfornej siwej czuprynie jako jedyny nie rozmawiał ze mną z pozycji autorytetu ani nie zachowywał się przesadnie uniżenie. Nie traktował mnie jak małego dziecka ani jak księcia. Wyłącznie Iniguez dbał, abym rozwijał własny talent i swoje zainteresowania, a nie tylko wypełniał oczekiwania innych.

Ostatecznie rozmowa przeciąga się na dwie godziny. Matrona aż pięć razy sprawdza, co robimy, dla niepoznaki oferując gościowi coś do picia. Quintus ulega dopiero, gdy kobieta przerywa nam po raz czwarty.

Kiedy Atrox otwiera drzwi po raz ostatni, przyłapuje mnie w momencie, jak przepłukuję zaschnięte gardło napojem, który przygotowała dla Ulciscora. Nie jest zachwycona. Przez cały czas staram się nie zapominać o swoim położeniu i nie cieszyć za bardzo dyskusją. Quintus jest inteligentny i odczytany, z nikim takim nie miałem do czynienia od lat, lecz jego motywy, a nawet sama osobowość, pozostają nieodgadnione. Chwilami, kiedy dotykamy pewnych konkretnych zagadnień, dostrzegam w nim przebłysk szczerzej pasji. Emocje pojawiają się również, gdy dochodzi między nami do różnicy zdań. Niewątpliwie interesuje go to, co mam do powiedzenia, choć bardzo stara się nie zdradzić swych intencji.

W momencie gdy pytania wreszcie się wyczerpują, kubek jest pusty, a gardło mam obolałe. Już bardzo dawno nie mówiłem tak długo bez przerwy.

– Myślę, że to wystarczy – oświadcza Quintus w zamyśleniu. – Mądrze wykorzystasteś czas spędzony w bibliotece. Dostrzegam pewne braki, lecz nic, czemu nie da się zaradzić.

Przypatruję mu się uważnie.

– Ale zauważyłeś inne problemy. – Staram się nie pokazać niepokoju, a jedynie akademickie zainteresowanie. Ulciscor wciąż jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, lecz ja owszem, już zdecydowałem. Muszę się przekonać, do czego prowadzi nasze spotkanie.

– Zgadza się. – Quintus z roztargnieniem skręca w palcach rąbek rękawa. Spogląda mi w oczy, świdruje mnie wnikliwym spojrzeniem. – Na przykład twój temperament.

Naturalnie. Wczorajsza walka. Temat, którego nadal nie poruszyliśmy.

– Potrafię go trzymać na wodzy.

– Łatwo powiedzieć, lecz pokazujesz go całym sobą, Vis. Choćby w rozmowie. Przypuszczam, że tak bardzo przywykłeś do stawiania oporu, że inaczej po prostu nie potrafisz.

Z miejsca budzi się we mnie irytacja, lecz to naprawdę zły moment, aby ją okazać.

– Nie jestem pewien, czy istnieje sposób, aby przekonać cię, że jesteś w błędzie.

– Hmm. – Nieznaczące, lecz znaczące mruknięcie. Wyczuwam niezadowolenie. – Powiedz mi, proszę... dlaczego wczoraj walczyłeś nago?

– Bałem się, że sextus nasyci moje ubranie. Że skrępuje mi ruchy i nie zdołam przed nim uciec.

– Nie byłby w stanie. Czysty, elastyczny materiał, ograniczony czas... Na jego poziomie... Wykluczone. Lecz cóż, nie musiałeś tego wiedzieć. – Kiwa głową. – Czy to jedyny powód?

– Jaki mógłbym mieć inny?

– Taki na przykład, żeby wprawić go w zakłopotanie. Zawstydzic.

– Chyba rzeczywiście planowałem wytrącić go z równowagi. Ale nie wyszedłem na scenę z zamiarem poniżenia przeciwnika, jeśli do tego zmierzasz.

– Rozumiem. – Uwierzył. – Wcześniej dowiodłeś, że nawet pod presją potrafisz nad sobą zapanować. Umiejętność podejmowania błyskawicznych decyzji może być przydatna. Ale twoje ogólne nastawienie i inne niedostatki... Cóż, prawdopodobnie da się nad tym popracować – mówi tylko częściowo do mnie. Mam wrażenie, iż stara się wyobrazić mnie sobie w jakiejś bardzo konkretnej roli.

Niemniej nadal się waha.

– Monety, które od ciebie dostałem... Nasyciłeś je Wolą.

– Skąd ten wniosek? – Quintus otrząsa się z zadumy i na powrót skupia wzrok na mnie.

– Dotarłeś moim śladem do teatru i do biblioteki. Ulice były wyludnione i nikogo nie zauważyłem. W dodatku działaś w pojedynkę, inaczej nie przyszedłbyś tutaj osobiście. Nie narażałbyś się też, używając fałszywej tożsamości. – Przemyslałem to dokładnie w trakcie pierwszej części rozmowy, kiedy nie musiałem szczególnie głowić się nad odpowiedziami. Innego wytłumaczenia nie znalazłem. – Poza tym musiałeś wczoraj wysłać posłańców do wszystkich miejscowych przytułków, jednak dzisiaj rano wiedziałeś już, gdzie mnie znajdziesz. W dodatku wątpię, abyś zapytał matronę wprost, który pokój zajmuję. Nie mówiąc już o tym, jak szybko udało ci się znaleźć skrytkę.

Monety, jako przedmioty wykute z metalu, teoretycznie nie powinny poddawać się syceniu Wolą, lecz mam przecież do czynienia z quintusem.

Ulciscor wsuwa dłoń do kieszeni. Wyciąga srebrny trójkąt i kiwa głową. Zdecydował. Ucisk w mej piersi słabnie.

– Dobrze – mówi półgłosem. – Przekażmy matronie pomysłyne wieści.



Gdy wychodzimy z biblioteki, wszyscy na sali zastygają. Matrona Atrox przerywa rozmowę z Vermesem. Idzie ku nam żywym krokiem, co rusz rzucając mi po drodze niechętnie spojrzenia. Pozostałe sieroty wciąż tu czekają. I wszystkie, co zrozumiały po tak długim czasie, są już mocno niespokojne.

– Quintusie! Mam nadzieję, że Vis nie dokuczył ci zanadto. – Znów gromi mnie wzrokiem. Już wcześniej kilka razy sugerowała Ulciscorowi, że nie powinien mi ufać. Bez wątpienia bała się tego, co mógłbym gościowi powiedzieć na jej temat.

– Ani trochę. Odbyliśmy bardzo przyjemną rozmowę – odpowiada quintus głośno, tak by każdy go usłyszał. – Co więcej, podjąłem decyzję. Matrono, proszę z łaski swojej przynieść dokumenty. Chciałbym sformalizować adopcję.

Kobieta mierzy go pustym spojrzeniem. Identyczne miny, co zauważam nieco rozbawiony, mają jej podopieczni.

– Adopcję Rexa? – upewnia się szeptem Vermes, wyraźnie wstrząśnięty. Zaraz potem niespodziewanie wybucha śmiechem. Wizja mojej adopcji wydaje mu się tak nierealna, iż uznał słowa Ulciscora za żart. W śmiechu słyhać złośliwą nutę. – Quintusie, kogo wybrałeś naprawdę?

Teraz już chichocze kilkoro innych dzieci, naśladują przy-
milną poufałość Vermesa. Milkną jednak natychmiast, widząc
tężejącą twarz Ulciscora. Matrona otwiera usta, lecz również
zauważa spojrzenie gościa, blednie i oddala się bez słowa, by
przynieść dokumenty.

– Jego wybrałeś? Nie żadnego z nas? – Vermes nigdy nie
umiał trafnie ocenić sytuacji. Nie potrafi nad sobą panować,
nie rozumie, kiedy należy się wycofać. – Wiesz chyba, że nie
chciał cedować nawet, kiedy siłą zaciągnęli go do Columnae, co?
Nic ci z niego nie przyjdzie. Ten chłopak to pośmiewisko – wy-
pluwa z siebie kolejne słowa. Dzieciaki pomrukują z aprobatą,
choć trzymają się z tyłu. Jak widać, mają odrobinę więcej roz-
sądku.

– Na imię ci Vermes, prawda? – Ulciscor mierzy wyrostka
ostrym spojrzeniem. – Chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze nie
zostałeś adoptowany?

Chłopak mruga. Pytanie wyraźnie go stropiło.

– Bo jesteś szalenie niesympatyczny – podejmuje quintus
spokojnym tonem. – Niedojrzały. Pełen złości. Nikt nie chce
mieszkać i żyć z kimś takim jak ty. Musisz się zmienić, Verme-
sie. Popraw się, bo inaczej będziesz nosić nazwisko Solum do
końca życia. – Wodzi oczami po całej sali. Sieroty kulą się pod
ciężarem jego wzroku.

Vermes rumieni się i wydyma usta. Odwraca się i odcho-
dzi. Odprowadzam chłopaka wzrokiem, czuję dziwną pokusę,
żeby go zawołać. Chciałbym go jakoś pocieszyć, złagodzić su-
rowy wydźwięk kazania quintusa. Gardzę Vermesem od daw-
na, lecz w tej chwili, chcąc nie chcąc, zaczynam mu współczuć.

– Trochę za ostro, nie sądzisz? – szepczę, gdy dzieci zaczy-
niają wychodzić z sali. Już wiedzą, że Ulciscor nie zmienia zdania.
Są gorzko rozczarowane.

W oczach najmłodszych kręcą się łzy.

– Może gdybym miał dla niego więcej czasu, okazałbym
temu chłopcu współczucie. Z pewnością jest mu potrzebne. Ale
ciepłe słowa są nieskuteczne, jeśli wypowiada się je w pośpiechu.

Takim jak on bardziej służy prawda, nawet jeśli nieprzyjemna. –
Spogląda na mnie. – Nie zgadzasz się?

– Zgadzam.

Na salę wraca matrona Atrox, trzymając papiery. Rozkłada je
na stole.

– Quintusie – zaczyna ostrożnie. Porządkuje dokumenty sta-
rannie, nawet na nas nie patrząc. – Czy zanim ostatecznie po-
twierdzisz decyzję, zechcesz zamienić ze mną słowo na osob-
ności?

– Oczywiście. – Ulciscor nawet nie mrugnął. – Vis, to chyba
dobry moment, byś zabrał swoje rzeczy z pokoju.

– To nie będzie konieczne. Vis nie ma...

– Proszę... – Quintus przerywa jej w pół zdania. Zsuwa z ra-
mienia torbę. – Czy to ci wystarczy?

Odbieram torbę, zerkam do środka. W środku nie ma nic
poza książką podręczniczą. Na moje pieniądze miejsca wystar-
czy z nawiązką.

– Dziękuję. – Rzucam okiem na matronę, w której spojrzeniu
majaczy żądza zemsty, po czym patrzę z powrotem na Ulcisco-
ra. Wciąż zwrócony do kobiety plecami, kiwa nieznacznie głową.

Wyprawa na piętro, przerzucenie wszystkiego ze skrytki do
torby i powrót na dół zajmują mi jedynie kilka minut. Na kory-
tarzu mijam kilkoro dzieci.

Przyglądają mi się zazdrośnie. Żadne nie odzywa się słowem.

Kiedy wchodzę na salę, matrona siedzi przy stole, a quintus
podpisuje dokumenty. Kobieta jest blada. Roztrzęsiona.

Ulciscor zamiera i podnosi na nią wzrok. Atrox zrywa się
z krzesła.

– Vis... – Głos ma ściśnięty, lecz tym razem to nie gniew.
Spokorniała podaje mi małą skórzaną sakiewkę. – Twój zarobek
z victorum i więzienia. Prze...przechowałam te pieniądze dla cie-
bie – jąka się, zacina. Jej wyciągnięta dłoń drży.

Odbieram woreczek i ściągam brwi zaskoczony jego cię-
żarem. Zerkam do środka i widzę błysk złota. Nie mam jak
sprawdzić, czy wypłaciła mi właściwą kwotę, choć wygląda na to,

że wszystko się zgadza. Zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć, Ulciscor składa zamaszty podpis na ostatniej stronie, prostuje się i klepie mnie w plecy.

– Gotowy?

– Chyba tak. – Wypadki potoczyły się niezwykle szybko. W przytułku nie ma nikogo, z kim chciałbym się pożegnać. Nikt się nie przejmie, jeśli zniknę bez słowa. Wciąż wydaje mi się to nierzeczywiste, ale naprawdę mogę odejść. Nic mnie nie powstrzymuje.

Ruszamy do drzwi, lecz po kilku krokach przystaję. Wracam do matrony.

Kobieta wygląda w tej chwili staro, nie pamiętam, by kiedykolwiek wydawała się tak drobna i znużona. To jednak nie ma większego znaczenia, gdyż zaraz przypominam sobie o bliznach pokrywających moje plecy.

Nachylam się, tak by mój szept dosięgnął jej ucha.

– Pewnego dnia wrócę. – W moim tonie nie ma nawet śladu gniewu.

Jest tylko zapowiedź.

Pryskają wszelkie pozory, jakie dotąd zachowywała; maska opada i na twarzy matrony pojawia się przeraźliwa trwoga.

Patrzę na nią jeszcze chwilę dłużej, prosto w zielone oczy. Chcę mieć pewność, że zrozumiała.

A potem wychodzę z sierocińca, po prostu odchodzę.

Na ulicy Ulciscor bierze na siebie rolę przewodnika, a ja chętnie pozwalam mu prowadzić. Wciąż oswajam się ze skutkami sejsmicznego wstrząsu, jaki dopiero co odmienił bieg mojego życia. Dzień jest zaskakująco zimny. Słońce, które jeszcze rano świeciło jasno, zdążyło się schować. Ciągące od zachodu ciężkie chmury zwiastują deszcz.

– Co takiego jej powiedziałaś? – pytam w pewnej chwili.

– Nic, czego nie powinna usłyszeć. – Odpowiedź brzmi nonszalancko, lecz gdzieś pod powierzchnią słów kryje się coś ostrzejszego. – A ty?

– Podobnie.

Trwa popołudnie i na ulicach Letens panuje ożywienie, choć nie takie, jakie widywałem nieraz w dzielnicy kupieckiej. Napędzane Wolą wozy, grupki bladolicych octavusów pracujących dla swych septimusów, stadko tensjańskich malców bawiących się drewnianymi mieczami w gladiatorów. Ulciscor obserwuje otoczenie z pewną dozą pobłażliwego zainteresowania. Domyślam się, że przybył do miasta stosunkowo niedawno.

– No dobrze. Odnoszę wrażenie, że już czas, abyś mi kilka rzeczy wyjaśnił. Należy mi się. – Uświadomiłem sobie właśnie, że Ulciscor przecież dokądś mnie prowadzi, a ja nie mam pojęcia dokąd. W ogóle nic nie wiem. Kierujemy się ku przedmieściom. Prawdopodobnie więc opuścimy Letens.

– Wszystko wytłumaczę po drodze.

– Po drodze? Dokąd?

– Do Dedycji.

Za nami rozlega się dziki okrzyk triumfu. Dziewczynka z mieczem w ręku powaliła znacznie roślejszego przeciwnika na ziemię i usiadła na nim okrakiem. Krzywię się lekko. Nie tylko z powodu dziecięcych wrzasków. Zanim Caten stał się stolicą całego świata, był stołecznym miastem Dedycji.

Niemniej upłynęły przecież trzy lata, a oficjalna wersja głosi, że nie żyję. Teraz już raczej nikt mnie nie poszukuje. Zapewne nie ma większej różnicy, czy będę tutaj, czy w krainie, która niczym kokon otacza bijące serce Republiki.

Poza tym nie mam wyboru. Nie mogę zawrócić.



Idziemy praktycznie w milczeniu, wygląda na to, że Ulciscor nie ma zamiaru prowadzić konwersacji, dopóki krążymy wśród tłumów. Po dwudziestu minutach marszu znajdujemy się na przedmieściach.

Nie byłem tutaj, odkąd osiemnaście miesięcy temu pojawiłem się w Letens. Okolica wygląda inaczej niż wówczas. Przy-sadziste, rozpadające się drewniane domy octavusów zniknęły,

a ich miejsce zajęły strzeliste kamienne fasady bądź ich załączki. Ulice zostały poszerzone i wybrukowane. Wciąż kręcą się po nich octavusowie, lecz teraz wszyscy zajęci są harówką. Zużywają resztki sił podczas transportu kamieni i drewna na place budowy. Praca wre jak w ulu. Septimusowie wykrzykują gardłowe rozkazy. Zauważam pewną kobietę, musi być sextusem. Z zamglonym wzrokiem podnosi wielką płytę na wysokość drugiego piętra, a tam już kilku octavusów z największym trudem przejmują i zabezpiecza lewitujący ciężar.

Ulciscor również zwraca na nią uwagę.

– Mało to wydajne – mruczy pod nosem z dezaprobatą.

Uznając ten pomruk za wystarczającą okazję do nawiązania rozmowy.

– Co tu budują? Jakies magazyny? – Żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy. Dziwne, że rozbudowują i upiększają akurat tę część miasta, więc jedynym sensownym rozwiązaniem zagadki wydają mi się właśnie magazyny. Poza tym większość powstających budynków nie wygląda na domy mieszkalne. Drzwi są zbyt szerokie i wysokie, a w ścianach umieszczono za mało okien.

– Jeden z punktów traktatu z Tensją dotyczy podziału dóbr zbieranych z ich ziem. Przede wszystkim chodzi o zboże i kamień. Sami nie potrafili odpowiednio wydajnie pozyskiwać tych towarów. Sytuacja uległa poprawie dopiero sześć miesięcy temu.

– I tutaj będą to wszystko składować?

– Tylko część przypadającą Tensji. Aczkolwiek Tensjanie i tak po pewnym czasie zrozumieją, że sami nie są w stanie odpowiednio dystrybuować takich ilości, i zwrócą się do nas o pomoc. A jeśli nie, magazyny w końcu się przepełnią i będą zmuszeni sprzedawać nam ich zawartość po zaniżonej cenie – tłumaczy rzeczowo. Ani się nie chełpi, ani nie wydaje się szczególnie zasmucony zarysowaną perspektywą. Po prostu trzeźwo przewidywa rozwój sytuacji.

– A co się stanie z częścią należną Catenowi?

– Zostanie wysłana do Catenu.

– W takim razie ten podział jest czysto teoretyczny – pry-cham. Do stolicy jest stąd przynajmniej trzy tysiące mil, a co więcej, oddziela nas od niej morze Quus. Transport takich ilości towarów byłby istnym koszmarem.

Ulciscor odpowiada jedynie uśmiechem.

Wkrótce zostawiamy za sobą rosnące gmachy i strudzonych robotników. Przekraczamy granicę wyznaczaną w przeszłości przez wielki kamienny mur. Kiedyś strzegł miasta, lecz został rozebrany na mocy paktu Hierarchii z Tensją, który zapewnia ochronę Letens wyłącznie za pomocą Woli. Wychodzimy na rozległą trawiastą równinę. Nietrudno odgadnąć, dokąd zmierzamy. Biały trójścienny i niewiarygodnie wysoki monolit majaczył na horyzoncie prawie od momentu, gdy wyszliśmy z sierocińca. Zastanawiałem się nad jego przeznaczeniem, odkąd go zauważyłem, lecz uznałem, że najlepiej będzie wziąć przykład z Ulciscora i milczeć.

Wreszcie zbliżamy się na tyle, że widzę kolumnę dokładnie. To chyba granit. Białą powierzchnię przecinają czarne żyłki. Boki szerokie są na jakieś trzydzieści stóp. Całość wznosi się na przynajmniej dwieście. A może więcej? Na równinie stoi również samotny budynek, tuż za słupem. Też sprawia wrażenie ogromnego, nawet w porównaniu z monolitem. Niespotykanie duża masa drewna, stali, kamienia i szkła dominuje nad całą okolicą. Robotnicy maszerują w kierunku miasta po brukowanej drodze, która okrąży monolit i przecina trawę. Przywodzą mi na myśl mrówki. Koła zasilanych Wolą wozów terkoczą głośno na twardych płytach.

Niektóre przejeżdżają też pod samym gmachem. Na moment przystają, to zjawisko nie do końca mieści mi się w głowie. Nie widzę żadnych podpór, a jednak... Tak. Sąsiadująca z monolitem konstrukcja po prostu... unosi się nad ziemią.

– Co to, na bogów? – szepczę mimowolnie. Mrużę oczy, lecz nadal jesteśmy za daleko, bym mógł zrozumieć, na co właściwie patrzę. Choć nie jestem pewien, czy to odległość jest największą przeszkodą.

– Transwekt. – Na widok mojej reakcji kąciki ust Ulciscora wędrują nieznacznie ku górze. – Pierwszy raz się z tym spotykasz?

Oniemiały potwierdzam skinieniem, nie jestem w stanie oderwać wzroku.

– Punkt kotwiczny został ukończony pół roku temu. – W głosie quintusa pobrzmiwa nuta dumy, subtelna, lecz wyczuwalna. – Transwekt jest już załadowany i gotowy do drogi. Prawdę powiedziawszy, czekają tylko na nas. Rano będziemy w Dedycji.

– Rano – powtarzam słabym głosem. Oczywiście słyszałem o transwektach. A nawet, wiele lat wcześniej, uczyłem się o tym na Suus.

Napędzane Wolą giganty, zdolne przemieszczać się wielokrotnie szybciej od najszybszych koni, transportują liczne oddziały wojska lub olbrzymie ładunki towarów do najdalszych zakątków świata. Czy też, jak w tym wypadku, do jego serca.

I nie chodzi o to, że wątpiłem w istnienie transwektów. Zawsze jednak wydawały mi się czymś w rodzaju propagandowego hasła – narzędziem służącym przede wszystkim do podkreślenia potęgi i siły sprawczej Hierarchii. Dlatego też nigdy nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak taki pojazd może wyglądać. Z pewnością nie sądziłem, iż mogą być aż tak gigantyczne.

Również teraz, mając transwekt właściwie tuż przed sobą, nie jestem w stanie pojąć, jak to możliwe, że tak kolosalna konstrukcja potrafi szybować z prędkością sugerowaną przez opowieści. Nie wiem, jakim cudem w ogóle się porusza.

Powiew wiatru przynosi pierwsze krople deszczu. Drzę i ciałem otulam się płaszczem.

Droga do transwektu dłuży się w nieskończoność. Ledwie zdołałem oswoić się z jego rozmiarami, gdy podchodzimy bliżej. Pojazd zbudowany jest w przeważającej mierze z drewna, lecz wzdłuż rozdętego brzuszyska ciągną się wielkie pasy granitu, miejscami poprzecinane przez okna. Masywne wrota załadunkowe. Skierowana ku miastu kamienna rufa ostro się zwęża i tworzy coś w rodzaju niskiej, ułożonej na boku piramidy.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio poczułem się tak mały.

Wkraczamy w cień transwektu i podchodzimy do schodów prowadzących na długą na sto stóp platformę. Jeszcze na dole drogę zastępuje nam kobieta, jej wyraz twarzy wyraźnie sugeruje skrajną nadgorliwość.

– Tylko robotnicy – woła, gdy tylko znajdujemy się w zasięgu jej głosu.

– I pasażerowie – prostuje Ulciscor. Wyciąga z kieszeni podpisane dokumenty. Cóż, wykazuje niezwykły talent w dziedzinie zdobywania wszelkiego rodzaju papierów. Wręcza je kobiecie z wesołym ukłonem.

Nieznajoma z niedowierzaniem wrywa mu plik. Musi być septimusem, porusza się zdecydowanie zbyt żwawo jak na octavusa. Pobieźnie wertuje pierwsze stronicę. Zastyga. Znów czyta. Blednie.

Zwraca je quintusowi drżącą ręką.

– Ach, magnus quintus Telimus. Witamy. Serdecznie witamy. Nikt mnie nie uprzedził... – Milknie speszona.

Spodziewam się, że Ulciscor poprawi ją raz jeszcze, zwróci uwagę na niewłaściwą tytulaturę, lecz nic takiego się nie dzieje. Czyżby kolejna fałszywa tożsamość?

– Nic się nie stało. Czy możemy przejść?

– Oczywiście. Naturalnie. – Kobieta rzuca na mnie okiem. Oblewa ją rumieniec. – W dokumentach nie znalazłam wzmianki o...

– To Vis Telimus. Jak mniemam, towarzystwo mojego krewniaka nie stanowi kłopotu? – Ulciscor niecierpliwie wzdycha i sięga pod płaszcz. – Jego papiery też gdzieś tu mam, jeśli to rzeczywiście...

– Nie, nie. Ależ skąd. Nie ma takiej potrzeby. Oczywiście, zapraszamy, magnusie. – Niemal zgina się w pół w ukłonie, przysięgam.

Vis Telimus. No jasne. Staram się nie przejmować faktem, że otrzymałem właśnie nową godność. Tak dużo się dzieje... Jeszcze nie w pełni dociera do mnie, że nie nazywam się już Solum.

Cóż, w sumie niczego to nie zmienia. Vis również nie jest moim prawdziwym imieniem, a nazwisko wspólne wszystkim sierotom i tak nie przysparzało mi szczególnej chwały.

A jednak Solum wydawało mi się zawsze bardziej... odrębne. Odzwierciedlało mój osobisty stosunek do Hierarchii. I chociaż dzisiejsza zmiana przybliżyła mnie do niej jedynie symbolicznie, to w głębi ducha coś zaczyna mnie uwierać. Od teraz jestem z nimi związany bardziej osobiście.

Nie mam jednak czasu roztrząsać subtelnych wrażeń. Wymijamy kobietę i wspinamy się po schodach na kamienną platformę. Transwekt wypełnia całe moje pole widzenia. Od końca pojazdu dzieli nas jakieś pięćdziesiąt stóp; widzę przed sobą dziób, również uformowany na kształt piramidy obróconej pod kątem prostym. U szczytu schodów mimowolnie się zatrzymuję, lecz quintus popycha mnie naprzód.

– Tędy.

W burcie otwierają się pojedyncze drzwi. Niechętnie ruszam w ich kierunku. Za nimi widzę wewnątrz bogato urządzonej kabiny, wyłożonej kosztownym dywanem. Zauważam przymocowane do ścian, wygodne fotele. Dalej, z tyłu, dostrzegam kredens i niewielkie stoliki, zastawione paterami z poczęstunkiem. Nikogo tam nie ma.

Transwekt wisi w całkowitym bezruchu. Nawet najśłabsze drżenie nie sugeruje, iż to jedynie Wola utrzymuje kolosa nad ziemią. Wciąż lekko się waham.

Ulciscor omija mnie i wchodzi do środka. Odwraca się w moją stronę, rozpościera ramiona i kilka razy podskakuje w miejscu. Pokazuje, że nie mam powodu do obaw.

Posyłam mu zirytowane spojrzenie i wchodzę na pokład.

Mimo że nie stoję już na bezpiecznej platformie, nie dzieje się nic niepokojącego. Pokład jest równie stabilny, jakbym stał po ziemi.

Ulciscor z rozbawieniem obserwuje moje pierwsze, niepewne kroki, po czym zamyka drzwi i opada na fotel. Czuje się jak u siebie w domu.

– Będziemy sami? – Kabina nie jest szczególnie przestronna, ale i tak jestem zaskoczony. Pozostałe przedziały pojazdu, te, do których udało mi się przelotnie zajrzeć przez okna, nie wyglądały na przystosowane do przewożenia ludzi.

– Innych pasażerów nie ma, a sam pojazd jest całkowicie bezzałogowy. Na najbliższe piętnaście godzin mamy transwekt wyłącznie dla siebie. – Quintus rozsiada się wygodnie. – Miejmy nadzieję, że zdążę przez ten czas odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

– Na to liczę.

Piętnaście godzin. W tym czasie mamy przebyć bez mała trzy tysiące mil. Stoję i rozglądam się wokół, nieco oszołomiony. A nawet, przyznaję, onieśmielony. Chociaż szczerze nienawidzę Hierarchii, niektóre z ich osiągnięć są niewiarygodne. Łatwo o tym zapomnieć, zwłaszcza tutaj, na krańcach kontynentu, dokąd docierają zaledwie ich najskromniejsze przejawy.

– Ile Woli zużywa coś takiego? – Z pewnością nie jest to najbardziej palący problem, lecz nadal czuję się lekko rozkojarzony. Potrzebuję chwili, by pozbierać myśli.

– A jak sądzisz? – Ulciscor wskazuje mi siedzenie naprzeciwko swojego.

Widzę po jego minie, że rozpoczął się właśnie kolejny test, choć zapewne wymyślony naprędce. Nie odpowiadam od razu. Powoli zapadam w miękki fotel. Tak komfortowo nie siedziałem od lat. Po chwili przestają się czemukolwiek dziwić i skupiam na pytaniu quintusa.

Podstawy wykorzystania Woli są dość powszechnie znane. Cateńczycy nazywają to zjawisko pelifagią, choć mało kto stosuje ten termin na co dzień. Dowolnie wskazane dziecko z mojego przytułku potrafiłoby wyjaśnić, że każdy septimus ma pod sobą ośmiu octavusów, z których każdy ceduje na niego połowę własnej Woli, a każdy sextus pobiera ją od siedmiu septimusów. Podobnie rzecz wygląda także na wyższych szczeblach piramidy, które zajmują kolejno osoby w randze quintusa, quartusa, tertiusa, dimidiusa i ostatecznie princepsa. Każdy kolejny

poziom zapewnia większą moc. Nieco starsze dzieci potrafiłyby zapewne przedstawić wynikające z tej struktury rachuby. Tak więc septimus dysponuje równowartością Woli pięciu zwyczajnych ludzi. Cztery piąte pochodzi od przyporządkowanych mu octawusów, jedna piąta od niego samego. Wartość ta ulega oczywiście zmniejszeniu o połowę, jeżeli septimus ceduje na jakiegoś sextusa. Początkowo zatem sextusowie posiadają Wolę ponad osiemnastu osób. I tak dalej.

Na tym jednak kończy się przyjemna prostota teorii. Powyższe wyliczenia pozwalają oszacować fizyczną siłę danego użytkownika Woli, lecz jest to jedynie jej najbardziej podstawowe zastosowanie.

Prawdziwe źródło potęgi Hierarchii tkwi w zdolności do nasykania Wolą przedmiotów nieożywionych – a następnie kontrolowania ich za pomocą duchowego wysiłku. To zjawisko wykładniczo zwiększa wydajność czysto fizycznej energii ludzi, którzy potrafią z niego korzystać. Nie jestem w stanie określić, do jakiego konkretnie stopnia. Kiedy pobierałem nauki na Suus, mieliśmy jedynie dane oparte na pogłoskach i obserwacjach. Hierarchia nie ma zwyczaju wyjawiać masom tajemnic bardziej zaawansowanych zastosowań Woli. Co prawda przez lata zdołałem nieco lepiej zrozumieć naturę niektórych stosowanych przez nich metod, lecz kwestia dokładnych nakładów Woli i jej efektywności pozostaje dla mnie w najlepszym wypadku niejasna.

Oczywiście Ulciscor świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Już podczas jego wcześniejszych pytań na jaw wyszły luki w mojej wiedzy w tym zakresie. Nie sądzę więc, by oczekiwał precyzyjnej odpowiedzi. Niemniej, ponieważ staram się mu zaimponować od kilku dobrych godzin, nie jest mi łatwo oprzeć się pokusie. Chcę choć trochę się popisać.

– Przypuszczam, że do zasilenia transwektu wystarczy jeden quintus. – Usiłuję stłumić dreszcz emocji. Quintus dysponuje nominalnie siłą pięćdziesięciu pięciu ludzi, lecz w rzeczywistości, przy umiejętnym wykorzystaniu, wartą znacznie więcej.

– Naprawdę? – W spojrzeniu Ulciscora pojawia się wesoła iskierka, choć dostrzegam również ślad zaskoczenia. – Uważasz, że sam byłbym w stanie poprowadzić tak olbrzymi pojazd?

– Pod warunkiem, że nie cedujesz. – Zatem naprawdę jest quintusem. Prawdopodobnie. – Te kamienne pasy pod kadłubem muszą być nasycone, więc zakładam, że zostały ze sobą sprzężone za pomocą Woli. A skoro tak, nie musiałbyś zapewniać siły nośnej całości transwektu, tylko jego najcięższemu elementowi. – Czytałem o tej technice w bibliotece. Wbijam wzrok w podłogę i ściągam brwi w zastanowieniu. Widziałem co najmniej sześć tych nośnych pasów. – No a potem, gdy pojazd byłby już w powietrzu, z łatwością mógłbyś wykorzystać sycenie, by popychać go naprzód lub hamować. Podejrzewam, że właśnie do tego służy ta gigantyczna kolumna. Punkt kotwiczny, tak ją nazwałeś, prawda? – Wskazuję palcem za siebie. Rozwiązywanie zagadki okazuje się mocno satysfakcjonujące. Wciągnąłem się. – Wiem, że Wola nie pozwala napędzać samego siebie. Więc tak, co prawda nie mógłbyś być w danym momencie na pokładzie i potrzebowałbyś odpowiedniej infrastruktury, lecz, biorąc pod uwagę te zastrzeżenia, myślę, że spokojnie poradziłbyś sobie z uruchomieniem transwektu.

Podnoszę wzrok i staram się powstrzymać mdłości, które dopadają mnie, gdy przypominam sobie, z kim rozmawiam. Ulciscor mierzy mnie uważnym spojrzeniem. Na zewnątrz zaczyna padać, krople deszczu bębnią o szyby.

– Harmonia i reaktywność – rzuca po chwili półgłosem. – Kiedy nasycone przedmioty są ze sobą sprzężone, mamy do czynienia z relacją harmoniczną. Jeżeli się przyciągają lub odpychają, jest to relacja reaktywna. – Niespodziewanie odchyła się w siedzeniu i z uśmiechem macha ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, iż w tej chwili te informacje są mało istotne. – Większość ludzi żyje w przekonaniu, że do manewrowania transwektem potrzeba przynajmniej quartusa.

– Większość ludzi to głupcy – wyrывa mi się odruchowo. Nie zdołałem w porę ugryźć się w język.

Na szczęście quintus reaguje jedynie śmiechem.

– Co prawda, to prawda. – Jest rozbawiony, lecz zauważam też, że moja analiza wywarła na nim pewne wrażenie. – I owszem, całkiem słusznie się domyślasz. Silny totius quintus mógłby teoretycznie zasilić wszystkie zawiadujące transwektem mechanizmy. Oczywiście, gdyby coś mu się stało, kierowany przez niego pojazd runąłby na ziemię, więc...

– Więc syceniem musi się zajmować kilka osób. Ze względów bezpieczeństwa.

– Nie inaczej.

Dostrzegam jakiś ruch za oknem, nieco dalej na platformie. Robotnica chroni się przed deszczem uniesioną połą płaszcza, coś sprawdza. Po chwili cofa się i machnięciem daje znak komuś na dole.

Pokład lekko drży. Zaczynamy się unosić.

Platforma w dole zaczyna maleć, odruchowo zaciskam palce na podłokietnikach, mimo że transwekt porusza się łagodnie. Nie wiem, czy poczułbym ruch, gdybym nie zwracał uwagi na widok za oknem.

– Po co wnosimy się aż tak wysoko? – Zerkam ku ziemi przez naznaczoną strugami wody szybę. W mój ton wkrada się nuta niepokoju. Od platformy dzieli nas już jakieś trzydzieści stóp, pięćdziesiąt od ziemi, a wciąż się wzbijamy.

– Tak najłatwiej omijać przeszkody. Wzgórza, skały. Statki. Ludzi. Takie rzeczy.

– Ach. – Pojazd nareszcie przestaje się unosić. Wbijam się w siedzenie. Zawisamy siedemdziesiąt stóp nad poziomem gruntu.

– Masz lęk wysokości?

Nie mam. Urwiska na Suus wznosiły się jeszcze wyżej, a wspinałem się na nie regularnie. Tego mu jednak nie zdradzę. Wciąż nie odrywam wzroku od malejącej w oddali iluzji bezpieczeństwa. Praktycznie słyszę, jak usta quintusa składają się w uśmiešek.

Transwekt znów się porusza. Tym razem suniemy naprzód.

Jak zahipnotyzowany patrzę na znikającą w oddali platformę. Przyciskam twarz do okna, próbuję zobaczyć jak najwięcej, podziwiam widoki. Po jednej stronie rozciąga się równina i rozległe lasy Tensji, po drugiej malejące, ponure zabudowania stolicy.

– Zachwycające, nieprawdaż? – Tym razem w głosie Ulciscora nie ma nawet cienia kpiny.

Nie reaguję. Rozpędziliśmy się już do tego stopnia, że platforma prawie zniknęła. W tej chwili widzę na niej tylko jedną, absurdalnie małą postać. To chyba kobieta, która zatrzymała nas przed wejściem.

– Nazwała cię magnusem quintusem. – Znów czuję nudności. Miałem nadzieję, że Ulciscor sam poruszy ten temat, lecz nie potrafię się powstrzymać. Tego jednego muszę się dowiedzieć w pierwszej kolejności.

– Tak właśnie brzmi mój pełny tytuł.

Nadal wyglądam za okno. Boję się, że jeśli na niego spojrzę, zauważy mój strach.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? Ani matronie? – Wykluczone, by Atrox o tym wiedziała.

– Nie powiedziałem jej, bo mogłaby wykorzystać twoją adopcję w jakimś politycznym celu. Właśnie dlatego prokonsul zgodził się pominąć ten szczegół w dokumentach. Zresztą to dość powszechna praktyka w naszych kontaktach z prowincjami. – Po jego tonie domyślam się, że wzrusza właśnie ramionami. – A tobie nie powiedziałem, bo nie mieliśmy jeszcze okazji o tym porozmawiać. Czy to aż tak istotne?

Z najwyższym trudem powstrzymuję wybuch śmiechu.

Quintus – „piąty” – to ranga, z którą w ramach Hierarchii wiąże się olbrzymia władza i wpływy. Republikę zamieszkują dwadzieścia cztery miliony ludzi, lecz większość piramid i tak kończy się już na poziomie sextusa. Chociażby burmistrz Letens, osobistość ważna i powszechnie szanowana, również jest sextusem. Co prawda totius sextusem, a to oznacza, że stoi na szczycie swojej piramidy, nie ceduje na nikogo innego. Prokonsul

Manius, obecny gubernator Tensji, zarządzający całą cateńską prowincją, ma rangę totius quintusa.

Istnieją jedynie trzy piramidy sięgające wyżej niż do quartusa: trzy piramidy senackie, powszechnie nazywane po prostu Armią, Rządem i Religią.

Do tych piramid wciela się wyłącznie jednostki najsilniejsze i najbardziej utalentowane. Quintusowie z mniej istotnych piramid dwoją się i troją, aby zostać septimusami w strukturze senackiej.

A tytuł „magnus” przysługuje tylko członkom senackich piramid.

Z tego wynika, że Ulciscor należy do wąskiego grona najpotężniejszych osób w całej Hierarchii.

– Cóż, to z pewnością niespodzianka. – Transwekt cały czas nabiera prędkości. Dosłownie pędzi naprzód, wnioskuje to z tempa, w jakim znika za nami Letens. – Jesteś senatorem?

– Jestem. Szczerze mówiąc, właśnie z tego powodu senat będzie musiał ratyfikować twoją adopcję. Do tego momentu pozostanie nieoficjalna – dodaje Ulciscor od niechcenia. – Zaprezentujesz się im, kiedy dotrzemy do Catenu.

– Czy to konieczne?

– Rozmawiamy tu o zwykłej formalności. – Lekko naganny ton quintusa wskazuje, że to nieuniknione. – Ród Telimusów nie jest wprawdzie otoczony powszechną miłością, tak jak Valeriusowie czy Tulliusowie, lecz za moim nazwiskiem także stoi dumna i długa historia. Senat zechce się upewnić, czy nie otwieram drzwi przed kimś, kto na taki przywilej nie zasługuje.

Potakuję. Nie mam pojęcia, jak inaczej zareagować, więc skupiam się na spływających po szybie strugach wody. Niespodziewanie dopada mnie przytłaczający lęk. Czuję się jak w potrzasku.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie podjąłem decyzji zbyt pochopnie.

Teraz jednak niczego już nie zmienię. Zbieram się w sobie i odwracam od okna. I tak fruniemy zbyt wysoko, by było widać ziemię. Musiałbym się wychylić.

– No dobrze. Więc co ja tu właściwie robię, ojcze?

– Dobrze pytanie, synu – Ulciscor pozwala sobie na nieznaczny uśmieszek. – Słyszałeś może o Akademii Cateńskiej?

– Oczywiście. – O Akademii słyszeli chyba wszyscy w Hierarchii. Dzieci rycerzy i senatorów kształcone są zazwyczaj przez prywatnych nauczycieli, lecz niewielka grupa spędza ostatnie osiemnaście miesięcy dzieciństwa właśnie w tej najbardziej prestiżowej z cateńskich uczelni. Tam przygotowuje się ich do pełnienia przywódczych ról w społeczeństwie, tam kształtuje się przyszłych urzędników, polityków i senatorów. To chluba i symbol potęgi Catenu.

Ulciscor mierzy mnie spokojnym wzrokiem, czeka.

– Ale... że... ja? – Zanoszę się śmiechem. Ta myśl jest niedorzeczna. Na pewno żartował. – Co? Chcesz, żebym i ja został magnusem?

– Niezupełnie. – Wesołość nie sięga oczu Ulciscora, choć na jego ustach wciąż tli się uśmiech.

Mój wyraz twarzy przeobraża się w ponury grymas.

– Mówiłeś, że nie będę musiał cedować.

– Bo nie będziesz musiał. Akademia to jedyne miejsce w Republice, gdzie cedowanie Woli jest zabronione. Podobnie jak jej przyjmowanie. Władze uczelni chcą, aby wszyscy studenci mieli równe szanse. „Na drabinę nie wolno wchodzić po cudzych plecach”, i tak dalej. – Ostatnia uwaga jest ewidentnie cytatem, lecz nie mam pojęcia skąd. – Tam właśnie lecimy. Wprowadziłem pewne zmiany w kursie transwektu. Zgłosić cię możemy jedynie w twojej obecności.

Milczę. Próbuję objąć rozumem ogrom tego, co mnie spotkało. Rzeczywiście obilo mi się kiedyś o uszy, że w Akademii nie wolno korzystać z Woli. To jednak wcale nie znaczy, że czuję się przekonany.

– Ale z pewnością coś się w końcu wydarzy. Jakaś nagląca sytuacja. Jakiś sprawdzian, o którym nie wiesz, a który będzie wymagać ode mnie cedowania.

– Sam tam studiowałem. Wydalają każdego, kogo przyłapią na łamaniu tej reguły. Zakaz cedowania i przyjmowania Woli

obowiązuje nawet w wolnym czasie między trymestrami. I nie stosują żadnych wyjątków. Nigdy nie stosowali. – Dostrzegam szczerść w ciemnobrażowych oczach Ulciscora. Sprawia wrażenie zadowolonego, ucieszonego wręcz. Jest przekonany, że przedstawił rozstrzygający argument.

– Wspomniałeś wcześniej, że to wszystko będzie dla mnie szansą. – Quintus bez wątpienia ma jakiś powód, dla którego pragnie mnie umieścić w Akademii, lecz zanim do tego przejdę, muszę się dowiedzieć, skąd u niego pewność, że zechcę się tam uczyć. Odnoszę wrażenie, że w całej tej układance brakuje jakiegoś ważnego elementu. – Nie chcę okazać się niewdzięczny, ale... pobyt na uczelni ułatwi mi życie jedynie na pewien czas. Po zakończeniu nauki wrócę do punktu wyjścia.

– Jeszcze nigdy żaden absolwent Akademii nie opuścił jej bram z rangą niższą niż sextus. A im lepiej wypadniesz, tym większe otworzą się przed tobą możliwości. Jeśli się spiszesz, możesz zostać nawet totiusem. I już nigdy nie będziesz musiał cedować.

Zaczynam rozumieć i przeklinam w duchu jego przedwczesny entuzjazm. Ulciscor zakłada – rozsądnie zresztą, zważywszy, co dotąd wyjawilem – że moim jedynym celem jest uniknięcie cedowania. Nie przyszło mu nawet do głowy, że moja niechęć rozciąga się także na wszelkie inne formy uczestnictwa w systemie.

– A jeżeli nie chcę też przyjmować Woli? – Mógłbym to sobie odpuścić, lecz wiem, że quintus zaraz mi zdradzi swoje prawdziwe zamiary. A biorąc pod uwagę przebieg jego potajemnej wizyty u Nateo, domyślam się, że nie chce, aby dowiedział się o tym ktokolwiek inny. Nie dam już rady się wycofać, lecz kiedy powierzy mi tak poufną informację, moje możliwości zostaną jeszcze bardziej ograniczone.

Kręci głową. Jest zaskoczony.

– Istnieją i takie stanowiska – odpowiada powoli, z namysłem. – Strażnik wiecznego ognia w Catenie. Specjalni audytorzy w biurze spisowym, którzy muszą działać poza podejrzeniem o uleganie jakimkolwiek wpływom zewnętrznym. Oczywiście do tego pierwszego zajęcia musiałbyś być kobietą, a do drugiego by-

łym senatorem. To może być poza twoim zasięgiem. – Wciąż się zastanawia. Myśli. Nie jest zachwycony. – Sądzę, że mógłbyś się ubiegać o stanowisko ambasadora w Jatiere. Traktat, jaki z nimi zawarliśmy, stanowi, że żaden pracownik cateńskiej ambasady nie może posługiwać się Wolą. To jednak mało prestiżowa rola. A zarazem niecodzienna. Musiałbyś ukończyć studia w Klasie Trzeciej, najwyższej, by senat w ogóle rozważył powierzenie ci takiego stanowiska. A pewność miałbyś jedynie, gdybyś opuścił akademię jako jej domitor. – W głosie Ulciscora pojawia się zwątpienie. Wprawdzie udało mi się zrobić na nim dobre wrażenie, ale dostrzega we mnie pewne ograniczenia. Przez chwilę obserwuje mnie bez słowa. – Pamiętaj, że w rzeczywistości bardzo niewielu ludzi czerpie Wolę z Płyt. Istnieją sposoby, by twoja pochodziła z innych źródeł – dodaje wyrozumiale.

Odpowiadam wdzięcznym spojrzeniem. Pozwalam mu myśleć, że mój opór wpływa wyłącznie z tego, co widziałem, pracując w więzieniu.

W skrytości ducha czuję jednak dreszcz emocji. Długofalowo nie zamierzam zajmować żadnego oficjalnego stanowiska w Hierarchii, lecz mógłbym rozważyć ostatnią z opcji. Przez jakiś czas byłbym w stanie przeżyć. Praca w ambasadzie byłaby dla mnie szansą na przetrwanie i na znalezienie trwałego wyjścia z sytuacji. Tam nie musiałbym postępować wbrew własnym przekonaniom.

A w razie konieczności mógłbym w Jatiere spędzić nawet całe lata.

– Dobrze. – Jestem zadowolony ze swojego opanowanego tonu. Ulciscor nie musi wiedzieć, jak bardzo mi zależy. – Dlaczego więc trafię do Akademii?

– Dlatego że jako Armia potrzebujemy tam kogoś, kto będzie naszymi oczami i uszami.

– Czyli po prostu chcecie wysłać tam szpiega. – Uśmiecham się mimowolnie.

– Pamiętaj, że to uczelnia, w której murach pobierają nauki dzieci najznamienitszych rodzin Republiki, instytucja, której

czołowi absolwenci zyskają wpływ na kształt przyszłej polityki całego Catenu. – Ulciscor nie podziela mojej wesołości. – Służba bezpieczeństwa Religii uczyniła z Akademii prawdziwą fortecę. Prawdę powiedziawszy, nawet coś więcej. To oni dobierają pracujących tam praeceptorów, strażników, a nawet octavusów, którzy zajmują się gotowaniem i sprzątaniem. Vis, to naprawdę twierdza. Państwo w państwie.

– I chronią się w ten sposób nawet przed resztą senatu?

– Zwłaszcza przed resztą senatu. – Zdecydowany ton quintusa nie pozostawia cienia wątpliwości. – Mandat Religii jasno stanowi, że republikańska edukacja leży w ich gestii, a sama Akademia jest dla nich klejnotem w koronie. Gdyby Armia upomniała się o dostęp do tej uczelni, wyglądałoby to tak, jakby Religia zażądała zniemacka kontroli nad siódmym legionem. Pewnych rzeczy po prostu się nie robi.

– Z pewnością nie bez dowodu na istnienie jakiegoś rodzaju nieprawidłowości. – Kiwam głową. Nie dodaję nic więcej, lecz akcentuję to stwierdzenie tak, jakby było pytaniem.

Oczywiście. Armia, Religia i Rząd sprawują władzę nad ściśle wydzielonymi obszarami życia Hierarchii. Słyszałem wprawdzie, że kwestia dokładnego wytyczenia granic owych zakresów stanowi źródło stałego napięcia i sporów pomiędzy senackimi piramidami, lecz kontrola nad Akademią wydaje się przywilejem jednoznacznym, który nie powinien budzić żadnych kontrowersji. Zakwestionowanie takiego stanu rzeczy, próba wkroczenia w kompetencje innej z senackich piramid, byłoby wydarzeniem bezprecedensowym i bardzo nieprzyjemnym.

– Owszem. Cóż. To właśnie jest chyba najbardziej interesująca w tej całej sprawie. – Ulciscor lekko się krzywi. Przez jego twarz przemyka cień zażenowania. – Otóż nie jesteśmy pewni, co chcą przed nami ukryć. Sądzymy jedynie, że to coś bardzo ważnego, lecz brakuje nam informacji i na obecnym etapie nie potrafimy nawet wysnuć żadnej sensownej hipotezy.

– Ach, wspañiale. Czyli jednym słowem... chcecie, żebym znalazł w Akademii dowód na... cokolwiek. – Podkreślam sło-

wa zamaszystym gestem, równie niejasnym i szerokim, jak cel mojej misji. – Nic prostsze.

– Gdyby to zadanie było proste, nie potrzebowalibyśmy ciebie.

– Może dostanę przynajmniej jakieś ogólne wskazówki? Za czym miałbym się rozglądać?

Quintus zaczyna bawić się rękawem.

– Zgadujemy, że sprawa związana jest z samą Solivagus, wyspą, gdzie swoją siedzibę ma Akademia. Religia posiada cały jej teren na wyłączność. – Urywa na moment, waha się. – Znajduje się tam wiele starych ruin – dodaje.

– Jak starych? – Sposób, w jaki wypowiedział ostatnie zdanie, w połączeniu z treścią jego niedawnej rozmowy z Nateo, sprawia, że już znam odpowiedź na to pytanie.

– Sprzed Katakliizmu.

– Czyli podejrzewacie, że poszukują w tych ruinach jakiegoś artefaktu? Zaginionej technologii? – Współcześnie tego rodzaju znaleziska stanowią już wielką rzadkość.

– Albo broni.

Niespokojnie poprawiam się na fotelu. Nikt nie wie, co spowodowało Katakliizm, ogólnoswiatową katastrofę, która trzy stulecia temu pochłonęła życie dziewięćdziesięciu pięciu procent ludzkości. Co gorsza, większość ocalałych stanowiły dzieci. Z chaotycznych dziesięcioleci, jakie nastąpiły bezpośrednio po Katakliźmie, zachowało się bardzo niewiele zapisków, a te nieliczne opisywały miasta pełne umarłych. Płonące metropolie. Całe krainy w okamgnieniu wymazane z mapy świata. Brakowało natomiast relacji z czasów poprzedzających tę straszliwą klęskę. Poczynione od tamtej pory odkrycia dość jasno sugerują, że istniejąca przed Katakliźmem cywilizacja znała zastosowania Woli, jakich Hierarchia dopiero zaczyna się domyślać. Cel istnienia Aurora Columnae, bez których cedowanie Woli byłoby po prostu niemożliwe, cateńscy uczeni zrozumieli zaledwie sto pięćdziesiąt lat temu. Nie wynaleźli także Płyt, a jedynie je odkryli. Bardzo wiele osiągnięć możliwych było niemal wyłącznie dzięki badaniu urządzeń wykopanych w starych ruinach. Wkład

oryginalnej cateńskiej myśli technologicznej w rozwój Republiki wciąż pozostaje stosunkowo ograniczony.

A to znaczy, że każda pochodząca z tamtych czasów broń może się okazać bardzo, ale to bardzo groźna.

– Dlaczego Religia miałyby szukać akurat broni? – zadaję pytanie zdziwionym tonem, choć wniosek jest przecież oczywisty. – I z jakiego powodu utrzymują to w sekrecie przed Armią?

Ulciscor rzuca mi spojrzenie, w którym tli się coś poważniejszego niż lekka irytacja. Wie, że jedynie udaję naiwnego.

– Później będzie okazja do rozmowy na ten temat. Być może. Jak na razie wystarczy ci wiedzieć, że taka ewentualność istnieje.

Ciekawe. Matias, jeden z nauczycieli, którzy kształcili mnie na Suus, sformułował swego czasu teorię, w myśl której układ sił pomiędzy senackimi piramidami ulegnie drastycznej zmianie zaraz po tym, jak zabraknie krain, które Hierarchia mogłaby jeszcze podbić. Twierdził wręcz, że skoczą sobie wówczas do gardeł. Nie zgadzałem się z Matiasem, sądziłem, iż jego wizja jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa.

– Rozumiem. – Zachowuję informację w pamięci, nie komentuję. – Ale zakładam, że wiecie przynajmniej, kto z ramienia Religii kieruje tymi poszukiwaniami?

– Principalis Akademii. Quintus Veridius Julius. – Kiedy Ulciscor wypowiada to imię, zachodzi w nim subtelna zmiana. Niemal niedostrzegalnie tężeją mu mięśnie twarzy, zwłaszcza wokół oczu. Nie przepada za principalisem.

– Veridius. Wymieniłeś to imię w więzieniu.

– Moim zdaniem, to on zesłał Nateo na Płyty. Pragnąłem zrozumieć dlaczego. – Spojrzenie quintusa pochmurnieje. – Nateo ukończył Akademię równocześnie z Veridiusem, sześć lat temu. Veridius został domitorem roku i wszystko, co robił, każde jego słowo i działanie, jakie podjął do dnia, kiedy zwyciężył w Iudicium, wskazywały, że przystąpi do nas. Że wstąpi do Armii, podobnie jak wszyscy członkowie jego rodu. On jednak poprosił o posadę w Akademii. Wybrał Religię.

– Co było... dziwne? – uprzedzam jego słowa.

– Bardzo. Dziwne, a nawet kontrowersyjne. Nie tyle sam fakt zmiany obozu, lecz to, że poprosił o tak mało prestiżowe stanowisko. Wszyscy uznaliśmy, że padł ofiarą szantażu, że ktoś go do tego kroku zmusił. A sposób, w jaki wygrał Iudicium, ostatni i najtrudniejszy z testów, które przechodzą studenci Akademii... Cóż. Zginęło wtedy dwóch jego kolegów. Rzekomo w wyniku nieszczęśliwych wypadków. – W głosie Ulciscora pobrzmiwa złowieszcza nuta. Na moment przerywa opowieść. – Fala oburzenia ostatecznie opadła, lecz od tamtej pory mieliśmy tego człowieka na oku. Staraliśmy się ustalić, co naprawdę zaszło. W każdym razie principalisem został rok później, po śmierci poprzednika. Naturalnej, jak się wydaje. – W tej chwili jego ton dosłownie ocieka zwątpieniem. – Gdy tylko Veridius objął kierownictwo uczelni, zaczął wprowadzać zmiany. Wcześniej główny kampus Akademii znajdował się w Catenie, lecz z uwagi na bunty zbożowe z dwieście dziewięćdziesiątego siódmego rok Veridiusa studiował już na Solivagus i ten uparł się, że uczelnia pozostanie tam na dobre. Uzasadniał to rzekomą plagą oszustw, twierdził, że jedynie przenosiny na wyspę zapewnią skuteczną izolację studentów od reszty świata. Religia go poparła. Od tamtej pory pozostali koledzy z roku, tacy jak Nateo, po cichu znikają. Dochodzi do rozmaitych wypadków, ludzie trafiają do więzień, niektórych wysłała się nagle do najdalszych zakątków Republiki. Nic jednoznacznego. Nic, co umożliwiłoby podjęcie oficjalnych kroków przeciw Veridiusowi. Schemat jest jednak wyraźny. – Ulciscor nachyla się w fotelu. Świdruje mnie wzrokiem. – Więc? Rozumiesz, skąd się biorą nasze podejrzenia?

Zamyślam się i potakuję. Quintus milknie, ja również przez chwilę nie odzywam się słowem. Jest wciąż popołudnie, lecz chmury pomalowały niebo złowróbną czernią. Niesłabnący deszcz głośnie bębni o burty transwektu. Suniemy właśnie nad lasem. Czubki najwyższych drzew mającą niewyraźnie tuż nad dolną krawędzią okna spływającego strumieniami wody. Mimo że zapewne lecimy bardzo szybko, w kabinie nie czuje się praktycznie żadnej zmiany. Zaskakuje mnie tempo, w jakim, może

nie oswoiłem się do końca, lecz przywykłem do tego rodzaju podróży.

– A dlaczego nie zwerbujecie po prostu jakiegoś studenta ze związanej z Armią rodziny? Kogoś, kto od dawna przygotowuje się do nauki w Akademii? – Mam znacznie więcej pytań, lecz uznałem, że dobrze zacząć od najbardziej oczywistych.

– Jeśli istnieją jakiegokolwiek twarde dowody, Veridius z pewnością nie trzyma ich na widoku. Będziesz musiał myszkować, a to grozi wydaleniem. Albo czymś gorszym, jeżeli znajdziesz naprawdę kompromitujące materiały. Na takie ryzyko rodzice oraz ich dzieci przystają bardzo niechętnie. Ukończenie Akademii jest naprawdę istotne. – Wyczuwam w jego słowach odrobinę goryczy. – Poza tym takim ludziom nie moglibyśmy zaufać. Połowa pomaszerowałaby prosto do Veridiusa i spróbowała wykorzystać otrzymane od nas informacje, by zająć lepsze miejsce w rankingu studentów. A drugiej połowie po prostu by się nie chciało wykonać takiego zadania.

Podążam za jego wywodem aż do logicznej konkluzji; mruczę pod nosem.

– Natomiast mnie możecie zaufać, ponieważ jeśli przed ukończeniem studiów niczego nie znajdę... co właściwie? Zmusicie mnie do wizyty w Aurora Columnae, a następnie sprzedacie moją Wolę? Wykorzystacie mnie do eksperymentów z Płytami? – Ulciscor miałby pełne prawo zrobić jedno i drugie. Z punktu widzenia prawa jest moim przybranym ojcem.

– Mniej więcej. – Próżno szukać w jego głosie wesołości czy przeprosin. Potwierdza po prostu stan rzeczy.

– A jeżeli naprawdę niczego nie znajdę? Albo jeśli wpadnę?

– Szukaj dokładniej. I nie daj się złapać. – W rzeczowy ton quintusa wkłada się emocja nieco bliższa współczuciu. – Miejmy jednak nadzieję, że tak się nie stanie.

– Miejmy. – Niczego innego nie oczekiwałem, lecz nieprzyjemnie jest usłyszeć to w tak obcesowej formie.

Ulciscor nie obawia się, że go wydam. Widział bliźny na moich plecach i rozumie, jak skuteczna jest wobec mnie jego groźba.

A nawet gdybym chciał zaryzykować, to czy druga strona mogłaby zaoferować lepszy układ? Jak dotąd dowiedziałem się jedynie o żywionych przez Armię podejrzeniach, ale władze uczelni też są ich bez wątpienia świadome. Moja przydatność w charakterze podwójnego agenta byłaby w najlepszym razie ograniczona. Nic nie czyni mnie szczególnie cennym w oczach Religii. W razie problemów nic nie uchroni mnie przed losem, którego staram się uniknąć.

– Czy jeśli mnie tam umieścicie, moja rola nie będzie zbyt oczywista?

– Nie, jeżeli się wyróżnisz. Dość często zdarza się, że senatorowie adoptują szczególnie uzdolnione dzieci. Zyskują dzięki temu blisko związanych ze sobą ludzi, których w przyszłości mogą umieścić na kluczowych stanowiskach. – Ulciscor bębni palcem o poręcz fotela. – Z drugiej strony sam Veridius bez wątpienia zrozumie, po co pojawiłeś się w uczelni. Jest zbyt podejrzliwy i zbyt inteligentny, by dać się zwieść. Nie może cię jednak wydaląć bez przyczyny. Coś takiego doprowadziłoby do dochodzenia. Niemniej musisz mieć się przy nim na baczności.

– No to świetnie. Obaj będziemy świadomi, że ten drugi coś knuje, ale będziemy udawać, że nic się nie dzieje. – Pocieram kark, próbuję rozmasować napięte mięśnie. – Pokładasz sporo zaufania w zdolnościach człowieka, którego dopiero co poznałeś.

– Cóż. Wszystko wskazuje na to, że jesteś wystarczająco bystry. Ostatecznie sam nauczyłeś się bardzo wiele. – Słowa quintusa naznaczone są cierpką nutą.

Podobnie jak wszystkim, odkąd opuściłem Suus, także jemu powiedziałem, że pochodzę z należącej do klasy średniej akwiryjskiej rodziny. Moi rodzice zginęli w wypadku, niedługo zanim Akwiria podpisała traktat z Hierarchią, a po ich śmierci cały nasz majątek przejęli arystokraci. Wspomniany pakt podpisano mniej więcej w okresie najazdu na Suus, a nasz język i kultura były zbliżone do panujących w Akwirii. Co więcej, ów kraj słynął z bałaganu w rządowych archiwach, więc takie przypadki jak mój zdarzały się tam niezwykle często.

I z tego samego powodu jest to opowieść niemożliwa do zweryfikowania.

Ulciscor ewidentnie nabiera podejrzeń. Ostatecznie pół dnia demonstrowałem mu owoce arystokratycznej edukacji; efekty nauk, które jako członek królewskiego rodu pobierałem przez pierwsze czternaście lat życia. Na razie jednak nie naciska, zostawia sprawę w spokoju.

– Zapewne nie tylko dlatego mnie wybrałeś. – Kiedy to mówię, w oddali rozlega się pomruk grzmotu. Za oknem rozpętuje się burza. – Jesteś przecieź magnusem quintusem. Bez problemu znalazłbyś jakiegoś wybitnie uzdolnionego octavusa, może nawet septimusa. Myślę, że nikt taki nie odrzuciłby możliwości przyjęcia nazwiska Telimus i wstąpienia do Akademii. A poza tym nie miałiby oporów przed cedowaniem. – Ostatni argument podkreślałem szczególnie mocno. Jestem przekonany, że mój stosunek do Woli odgrywa w tym wszystkim jakąś rolę, choć nie rozumiem jeszcze jaką.

– Co oznaczałoby zarazem, że nie miałbym nad takim człowiekiem żadnej kontroli. – Ulciscor rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie, lecz po chwili kiwa głową. – Ale tak, zgoda. Spotkasz tam kilku innych studentów, którzy nie odwiedzili jeszcze Aurora Columnae. Odkąd uczelnią kieruje Veridius, chętniej przyjmuje kandydatów, którzy nigdy przedtem nie cedowali. Naturalnie nie robi tego otwarcie, ale wystarczy trochę się zagłębić, a schemat staje się wyraźny. Wśród osób w twoim wieku niewielu jest takich. – Zawiesza głos, wpatruje się we mnie intensywnie brązowymi oczyma. Nawet na moment nie ucieka spojrzeniem. – Szczerze mówiąc, sam chciałbym cię o coś zapytać.

– Proszę bardzo.

– Powiedziałeś mi, że nie cedowałeś w Aurora Columnae, bo nie chciałeś zostać octavusem. Co rozumiem, lecz... twoje bliźny. Widziałem, ile ich nosisz. – Mówi to cicho, lecz w jego słowach wyczuwam napięcie. Jakby krzywda, która mnie spotkała, dotknęła go osobiście.

– To nie do końca pytanie – wzdycham, czuję na sobie jego wzrok, czeka na moją odpowiedź. – To proste. Nie zdecydowa-

łem się, gdyż jestem przekonany, że alternatywa byłaby jeszcze gorsza.

– Nie, to wcale nie jest proste. Wierność przekonaniom jest godną podziwu cnotą, lecz nie zajdziesz daleko, jeśli będziesz opierać na niej całe swoje życie. – Quintus nachyla się ku mnie. – Tak naprawdę, Vis, chcę się dowiedzieć, za co właściwie próbujesz się ukarać?

W mojej piersi pojawia się nieprzyjemny, mdlący ucisk. Patrząc na niego, nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

Kadłubem transwektu szarpie gwałtowny wstrząs.

Kurczowo zaciskam palce na poręczach fotela, jestem niemal zadowolony z przerwy w rozmowie, lecz wtedy dostrzegam, że Ulciscor również musiał się przytrzymać.

– Czy to powinno aż tak...

– Nie. – Quintus wygląda przez okno, o pytaniu zapomniał na dobre. Wciąż lecimy z dużą szybkością, lecz pojazd mocno się trzęsie. Chaotyczne, wyraźnie odczuwalne wibracje konstrukcji sprawiają, że dzwonią mi zęby.

Odnoszę też nieprzyjemne wrażenie, iż sunący pod nami las zaczyna się zbliżać.

– Chyba będziemy lądować. Prawdopodobnie doszło do jakiejś awarii. Czeka nas chwilowa przerwa w locie. – Ulciscor wstaje, dla równowagi chwytą się na moment oparcia siedzenia, po czym chwajnie podchodzi do okna po drugiej stronie kabiny. Mruży oczy i patrzy w stronę dziobu frunącego coraz wolniej kolosa. W przeciwieństwie do mnie nie jest przesadnie zaniepokojony.

Jego spokój nie utrzymuje się jednak długo. Moment później przednią częścią kadłuba wstrząsa wybuch.